

**W NUMERZE:** Generał Dubicki o kwietniu 1945 roku nad Odrą pod Siekierkami ■ Horacego Safrina „Reportaż o powstaniu“ ■ Polemika: Makowiecki – Włodkowski: Pokornie ze słową w garści czy bez pokory – o anomaljach w handlu i usługach ■ Propozycja J. Urbankiewicza: Zróbcie to sami, czyli jak bronić się przed „fachowcami“ ■ Czy nie będzie tragedii? – zapytuje K. Turowski w „szerszerzędzie“ ■ Debiut prozatorski J. J. Bieleńskiego.

# odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

Kódź



NR 17(1063) ROK XXI

23 KWIETNIA 1978 R.

CENA 3 ZŁ

JERZY WAWRZAK

## ANTONI KASPROWICZ —ROBOTNIK SŁOWA



„Wiersze Antoniego Kasprowicza to poezja optymizmu i siły. Siły tak charakterystycznej dla warstwy z której pochodzi”. (Marian Piechal)

Foto: Archiwum

**ANTONIEMU KASPROWICZOWI – pisarzowi robotniczej Łodzi –  
z okazji 70 rocznicy urodzin najserdeczniejsze życzenia dalszych  
sukcesów twórczych i pomyślności w życiu osobistym**

**składa zespół „ODGŁOSÓW”**

W 1925 roku WŁADYSŁAW BRONIEWSKI, STANISŁAW RYSZARD STANDE i WITOLD WANDURSKI wydają biuletyn poetycki „Trzy salwy”. W kilkudziesięciu wstępie składają znaczącą deklarację: „Nie o sobie piszemy. Jesteśmy robotnikami słowa. Musimy wypowiedzieć to, czego inni ludzie warsztatu wypowiedzieć nie mogą... Niech słowa nasze padną jak salwy w ulice śródmieścia, niech odegrzmą echem w dzielnicach fabrycznych. Walczymy o nowy ład społeczny. Walka ta jest najwyższą treścią naszej twórczości”.

Echa tych poetyckich salw odezwa się po dziesięciu latach w wydanym w 1935 roku debiutanckim tomie poezji ANTONIEGO KASPROWICZA, który bez wahania mógłby się podpisać pod manifestem autorów „TRZECH SALW”. Z tym, że, jak pisze Władysław Broniewski w ćwierć wieku później w słowie wstępnym do „Wierszy wybranych” A. Kasprowicza (Wydawnictwo Łódzkie, 1961), „nie jest on... rewolucjonistą z wyboru, lecz autentycznym łódzkim proletariuszem. Pisze więc „o sobie”. Dodajmy jeszcze dla jasności, że łódzki poeta — proletariusz staje się pierwszym „człowiekiem warsztatu”, który chce i potrafi wyrazić w artystycznej formie marzenia, wyzysk i nędzę, a przede wszystkim wolę walki swojej klasy.

Spotykamy się często z opinią, że jedyną legitymacją pisarza są jego książki. W takim rozumieniu nieistotna wydaje się jego droga życiowa, postawa, działalność pozaliteracka. W żadnym przypadku nie można tej zasady odnieść do twórczości Antoniego Kasprowicza. Jego rodowód, biografia, osobiste losy tak są związane z jego twórczością, że można zaryzykować twierdzenie, iż to one stworzyły Kasprowicza — pisarza. Nie oznacza to jednocześnie, że jego utwory — mimo, iż są jakby wypisane z półwiecza osobistych doświadczeń, będących tak samo udziałem klasy, do której przynależny — miały tylko ambicje dokumentu lub z grubszą oszlifowanego autentyku. Tak nie jest. Kasprowicz w ciężkim trudzie, pokonując przeciwności losu i bariery społeczne, dopracował się rangi twórcy wysokiego lotu, zdobył status artysty. A co go wyróżnia w sposób godny podziwu w tym nowym układzie społecznym, to konsekwencja i wierność swym młodzieńczym ideałom, wierność swej klasie, z której wyszedł, nigdy nie tracąc z nią moralnej i uczuciowej więzi.

Antoni Kasprowicz urodził się 12 kwietnia 1908 roku w Łodzi, na widzewskim Szlezynku, w rodzinie robotniczej. Jego rodzice byli tkaczami borykającymi się, jak im podobni, z biedą, chorobami, bezrobociem. W tych warunkach szkolna edukacja Antoniego kończy się na czterech oddziałach szkoły powszechnej. Nie opuszcza go jednak pragnienie zdobycia wiedzy. Zmuszony do podjęcia pracy zarobkowej, uczy się sam, przerabia materiał z podręczników według programów szkolnych, dużo czyta. Dzięki temu trafia później do wieczorowego Gimnazjum Handlowego. Ale to też tylko epizod w jego życiu. Najważniejsza jest praca zapewniająca minimum egzystencji. Jest więc gońcem, pomocnikiem malarza, rysownikiem ekip wykopalskich w Muzeum Archeologicznym, udziela korepetycji. Częścią jego życia jest bezrobotność, człowiekiem niepewnym jutra, dzieli los setek tysięcy robotników żyjących w nędzy, bezlitośnie wyzyskiwanych i prześladowanych za lewicowe poglądy.

Dalszy ciąg na str. 5







# LUDZIE KULTURY ZA POKOJEM

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

## POKÓJ

Nie zstąpi na nas jak gołębicą  
Ani wyniknie jak pora roku,  
Ani zaplonie jak błyskawica  
Na ziemi pokój.

Nie zrodzi nam się z kwiatów naręczy,  
Nie na piorunie, nie na obloku,  
Nie spłynie na nas z niebieskiej tęczy  
Na ziemi pokój.

Tylko się musi narodzić z woli,  
Jak krew wytrysnąć z naszego boku,  
Z wysiłków naszych rosnąć powoli  
Na ziemi pokój.

Jak płomień buchnie z naszego trudu,  
Z podanej ręki, spólnego kroku,  
Z okrzyku wszystkich na ziemi ludów:  
Niech będzie pokój!



Foto: W. Parus

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ – pisarz

Mineło 33 lata od zrzucenia przez Amerykanów 6 sierpnia 1945 roku bomby atomowej na Hiroszimę. Skutki wybuchu tej broni zagłady spowodowały około 78 tysięcy zabitych, 37 tysięcy rannych i 14 tysięcy zaginionych na ogólną liczbę 225 tysięcy mieszkańców tego japońskiego miasta.

Następstwem promieniowania jonizującego były choroby białaczki, zacięmy i zaburzenia rozwoju dzieci wśród „ocalałych” ludności Hiroszimy.

Mineło 33 lata a ludobójcze zakusy w stokrój bardziej potwornych wymiarach zagłady odnawiają się. Kolosal jakby powięźnia ludobójcza, odradzająca się w cieniu hitlerowców, cieszących się cichą sympatią amerykańskich „jastrzębi”. Ale my nie chcemy męczarni umierania przez parę dni lub tygodni od działania bomby neutronowej i nie chcemy odczekać na katyż umierania od tej bomby naszych najbliższych, przyjaciół i rodaków. I nikt tego nie chce na całym świecie.

Dlatego prasa całego świata cywilizowanego przynosi od dłuższego czasu wiadomości o protestach naro-

dów przeciwko zamierzonej, a na razie tylko odroczonej produkcji bomby „N” i próbie budowania arsenałów i rozmieszczania w nich tej ludobójczej broni w państwach należących do układu NATO. Żywiłowe protesty i manifestacje w Holandii, Norwegii, Finlandii, Szwecji, Włoszech i krajach demokracji ludowej świadczą o zrozumieniu przez społeczeństwa całego świata grozy niebezpieczeństwa atomowego. „Naciśnięcie guzika” musiałoby wywołać reakcję łańcuchową, która by ocalała koniec życia ludzkiego i zwierzęcego na całym naszym ziemskim globie.

Bomba „N” jest, jak mówią znawcy, „najokropniejszą z okropnych” i nie można się dziwić powszechnemu oburzeniu, które „reklamowanie” tego nieludzkiego sposobu zabijania jako „środku humanitarnego” nazywa cynizmem i szantażem.

Jest rzeczą znamienną, że wśród tych, którzy wypowiadają się za wyposażeniem arsenałów państw układu NATO w bomby neutronowe, znajdują się skrajnie reakcyjne ugrupowania polityczne, jak chrześcijań-

ska (!) demokracja w RFN, brytyjscy konserwatyści w Anglii i „jastrzębie amerykańscy” w USA. Przeciwdziałają się im postępowe obozy na Zachodzie i państwa demokracji ludowej.

Do jasniejszych momentów w jej walce ciemnoty i zacofania, i okrucieństwa ze światła ludzkości można zaliczyć fakt, że z Finlandii wysłano do prezydenta Jimmy'ego Cartera tysiące kart protestujących przeciwko produkcji broni zagłady i uzbrajania w tę broń państw członkowskich NATO. Podobnie obradujący w Warszawie międzynarodowy Komitet PUGWASH, którego członkiem jest między innymi laureatka Nagrody Nobla, prof. Dorothy Hodgkin wytworzył się za całkowitym rozbrojeniem w dziedzinie broni jądrowej i za likwidacją tej potwornej broni masowej zagłady.

Wierzę, że wbrew zakusom reakcji i militarystów zachodnich zwycięży humanitarny obóz ludzi postępu i którzy wskazują na konieczność zaprzestania szantażu bronią nuklearną i przypominają o konieczności podjęcia decyzji i prac nad problemami bezrobocia w Europie, wyżywienia głodującej ludności afrykańskiej, zniszczenia neokolonializmu, ochronę środowiska naturalnego i zabezpieczenia ludzkości prawa do życia w bezpieczeństwie i pokoju.

LESZEK RÓZGA – wybitny artysta – grafik, laureat wielu nagród i wyróżnień

— Należę do ludzi, którzy sami przeżyli wojnę. W wieku 16 lat zostałem wywieziony do Niemiec i zmuszony do niewolniczej pracy. Jeden z moich braci zginął w czasie kampanii wrześniowej 1939 r., inny został spalony w Radogoszczu. Wojna i okupacja dotknęła ciężko mnie i moją rodzinę.

Usiłuję się niekiedy szukać genezy wielu motywów i wątków mojej twórczości w doświadczeniach wojennych. Trudno to samemu ocenić, ale jest chyba oczywiste, że wśród ludzi z pokolenia doświadczonego wojną — pamięć tych czasów zawsze będzie żywa, choćby tylko w podświadomości. Wojna, najbardziej prymitywny i barbarzyński sposób załatwiania ludzkich spraw, jest przeciw człowiekowi. Dlatego plany współczesnych militarystów rozpętania nowych konfliktów widzę jako objawy choroby wywołanej przez wojnę i z której całe pokolenie nie potrafią się jeszcze wyleczyć.

Każda broń — my, Polacy mówimy „broń” — bośmy musieli zawsze bronić się i zapomnieliśmy o słowie „oręż” — we współczesnym świecie

jest narzędziem zagłady; niezależnie od tego czy wojskowi nazywać ją będą konwencjonalną czy też bronią masowego rażenia. Godzi bowiem w pokój, w prawo do pracy, w rozwój duchowy. Ale na tym tle bomba neutronowa która próbuje się przedstawiać jako „humanitarna” — jest szczególnie absurdalnym rodzajem broni. Ma ona rzekomo niszczyć tylko LUDZI a zachowywać ich DOBRĄ. W świecie pełnym rzeczy, udoskonalanych i masowo produkowanych dla zaspokojenia różnorodnych potrzeb człowieka — miałoby po użyciu Bomby N zabraknąć właśnie LUDZI. Trudno o bardziej perfidny, antyhumanitarny argument.

Właśnie teraz, gdy wydawałoby się, że szansa na urzeczywistnienie pokoju jest bliska — sama świadomość zagrożenia przez nowe narzędzie zagłady, które miałyby pozostawić niekuniknięte sale koncertowe, muzea i galerie sztuki, biblioteki — a zniszczyć tych, dla których wszystkie te dobra są przeznaczone — jest nie tylko przeciwna kulturze ale także cywilizacji.



W Sali Kolumnowej Rady Państwa w Warszawie obradowały na wspólnym posiedzeniu prezydium Ogólnopolskiego Komitetu P.J.N., Centralnej Rady Związków Zawodowych i Ogólnopolskiego Komitetu Pokoju. Tematem obrad było między innymi prawo człowieka do życia w pokoju. W przyjętej w czasie obrad rezolucji znalazło się następujące stwierdzenie:

„Wśród podstawowych praw człowieka najważniejszym i decydującym o wszystkich innych jest prawo do życia w pokoju”.

Nic więc dziwnego, że w momencie, kiedy prawo zostaje zagrożone, kiedy narastają konflikty i kiedy światu grozi wyścig zbrojeń, który mógłby doprowadzić do totalnej zagłady — wtedy rozlega się głos protestu. Ludzie na całym świecie stają do obrony swego podstawowego prawa.

„Przylączamy się do potężnego głosu protestu — czytamy we wspomnianej rezolucji — i oburzenia światowej opinii publicznej, do manifestacji i działań, które służą idei obrony świata, rodzaju ludzkiego, przed totalnym zniszczeniem”.

Przeciw niebezpieczeństwu rozpętania wojny nuklearnej protestują w Polsce robotnicy, młodzież, studenci, ludzie nauki i kultury. Najgłośniej rozlega się ich głos, gdyż są oni świadkami wagi światowego dorobku kultury, są świadkami niebezpieczeństwa, jakie niesie z sobą groźba zniszczenia naszej cywilizacji.

„Jako artysta — oświadczył Bohdan Wodiczko, dyrektor i kierownik artystyczny Teatru Wielkiego w Łodzi — nie mogę nie myśleć o tym, że wojna niszczy i ludzi i bezcenne wytwory ich ducha w postaci genialnych, niezastąpionych nieczym dzieł sztuki. Jestem przekonany, że dla wszystkich

ludzi uwarżliwionych estetycznie są to sprawy niezwykle doniosłe i przyczyniają się do umocnienia w nich antywojennego i antyzbrojeniowego protestu”.

Wojna niszczy wszystko. Ta wojna, którą ludzie chcą zgatować ludziom ma niszczyć tylko wszystko to, co żyje, zostawiając w stanie niemal nie naruszonego wszystkiego, co materialne. Jest to oczywiście tylko marzenie zwolenników wojny, bo wojna zawsze musi niszczyć i nawet pocisk neutronowy wybuchu i sieje zniszczenie nie tylko neutronowym promieniowaniem. Ale nawet ten uproszczony obraz wybuchu neutronowej głowicy zawiera w sobie groźbę i wzbudza w wyobraźni ludzi wizję wymarłej planety. Porusza to szczególnie ludzi nauki, którzy cały swój wysiłek poświęcają sprawom życia, a nie śmierci.

„Dla nas — oświadczył prof. Zbigniew Gertych, dyrektor Instytutu Warzywnictwa w Skierniewicach — naukowców, a zwłaszcza przyrodników, szczególnie ważne jest to, aby wyniki naszych badań wykorzystywane były dla dobra człowieka, dla jego rozwoju — tak indywidualnego, jak i społecznego. Chcemy tworzyć, a nie niszczyć — taki jest cel naszej pracy i całej działalności. Nie możemy zgodzić się z tym, aby nasza wiedza służyła zabijaniu”.

Dla artysty ważny jest dialog, jaki wiedzie z odbiorcą swojej sztuki. Ten dialog jest możliwy tylko wtedy, kiedy artysta i odbiorca rozumieją się, kiedy łączą ich wspólne cele, kiedy działalność artysty pobudza myślenie odbiorcy.

„W tym naszym wspólnym dialogu z widzami — oświadczył Ludwik Benoit, popularny łódzki aktor — nie może zabraknąć także ostrzeżenia przed wojną. Wojną — czymś najbardziej przerażającym w historii ludzkości. Wojną, która w swej isto-

cie zakłada zabijanie. Zmusza, co więcej — sankcjonuje, a nawet afirmuje zbrodnię. Konsekwencji moralnych tego (nawet w wypadku, gdy musimy pozabawić życia innego człowieka samemu broniąc się) nie sposób przecenić. Nie trzeba jeszcze czasu, by ludzie zrozumieli na całym świecie, iż zabijanie jest najbardziej wyproduktowym czynem”.

Na każdym pokoleniu spoczywa odpowiedzialność za dalszy los świata, naszej cywilizacji. Każde pokolenie, jeśli go nawet nie stać na wkład do dziejowej skarbnicy kultury, obowiązane jest troszczyć się o zachowanie zastanego dorobku i przekazanie go następcom. Tak przynajmniej powinniśmy rozumieć naszą rolę w dziejach ludzkości.

„Jestem pisarzem — oświadczył na łamach „Trybuny Ludu” Wojciech Zukrowski. — Pisarstwo wymaga myślenia ciągami historycznymi, wymaga świadomości dziedzictwa kulturowego. Dlatego myśl o tym, że całe społeczeństwo mają zostać zniszczone, że zostanie tylko resztki dóbr materialnych, które może zagarnąć napastnik, wydaje mi się czymś drażniącym, żałosnym i śmiesznym. Bo przecież wiadomo, że jeśli Amerykanie zdecydują się — bo decyzja została tylko odłożona — na produkcję tej nowej strasznej broni — bomby neutronowej, to przecież ci, którzy są zagrożeni przez tę broń, będą zmuszeni także podjąć jej produkcję”.

I dalej napisał Wojciech Zukrowski: „Mnie jako pisarzowi zostaje jedno: mówić prawdę i przypominać o straszliwej odpowiedzialności jako spada na tych, którzy twierdzą, że naciśnięcie guzika jest takim samym czymś jak działaniem jak naciśnięcie spustu w karabinie. Tym, którzy ryzykują podobne twierdzenie, przypominałbym, jak straszliwie żałosnie wyglądali ci z ławcy oskarżonych w Norymberdze”.







# ANTONI KASPROWICZ — ROBOTNIK SŁOWA

Dalszy ciąg ze str. 1

W tym czasie pisze, uczy się i pisze. Pierwszy jego wiersz drukuje w 1927 roku gazeta „Hasło Łódzkie”, gdzie 19-letni Antek jest gońcem. Wiersz nosi tytuł „Miłość”, ale nie jest to zapowiedź banalnego, lirycznego poezjowania. Z jego treści wynika raczej przekonanie o braku miłości i osamotnieniu człowieka, o ciągłym zagrożeniu jego egzystencji. Taki mniej więcej ton będzie dominował w jego utworach drukowanych przez kilka lat w łódzkiej i warszawskiej prasie.

Kasprowicz w tym okresie nie tylko zajmuje się poezją. Obok poetyckich obrazków, wierszy okolicznościowych, w których autor bardziej zmagają się z materia słowa, niż świadomie konstruuje wizerunek świata, publikuje również reportaże i popularyzatorskie szkice, m.in. o Mickiewiczu, Asnyku, Konopnickiej. W cyklu reportaży „Tydzień w życiu bezrobotnego”, „Tkacze”, „Dzielnica”, „Strycharze” z wielką pasją, bez pustostawia, konkretnie, przedstawia koszmarną rzeczywistość, nie ograniczając się tylko do opisu żałków, ale wyraźnie wskazując, kto i dlaczego zgotował taki los jego braciom. Zacytujmy kilka fragmentów z reportażu „Niepotrzebni ludzie”, których nie zastąpi żadna interpretacja.

„Tkacze, szpinerzy, murarze i bezrobotni na krańcach miasta, w dymnych izdebkach pedza szare swe życie, przerywane tylko gwizdem syreny fabrycznej lub śmieciem... A kiedy pięknie rozgrzany łańcuch dnia pracy — ujrzą ich znowu, wlokących nogi i ręce z ołowiu do swych suterów, strychów i nor, by padli na łóżko, stępcą stopem gorącym w sen długi, pachnący oliwą i smarem. Można też jeszcze zobaczyć, jak to u tkacza Frankusa przy stole spożywać będą barszcz kwaśny z misy okrągłej, w której przed chwilą były prane brudne koszule, jak dzieci chore na jaglicę — z matką gruczkującą dzielić się będą ciepłym kartoflem — i jak wreszcie uložone do łóżka pod ścianę ociekającą wilgocią zasną snem twardym, by matce dać miejsce do prania. Jak u stolurza Dufaja śpi w dwóch łózkach sześć osób chorych na różne choroby. Możesz się jeszcze dowiedzieć, jak stary murarz na dole katuje swą żonę i dzieci, z których jedno już wynieśli na ementarz — i o tym, jak Faiski z naprzeciwka powiesił się w drzwi na klamce — sparaliżowany był bowiem i słoneca Bóg od lat trzech nie widział...”

Te doświadczenia, jeśli doświadczeniem można nazwać życie autora, znajdują swą artystyczną, w pełni dojrzałą agzemplifikację w debiutanckim tomie wierszy „SŁONCE ZA MUREM” (1935), który ukazał się dzięki życzliwemu mecenasowi Mieczysławowi Jastrunowi, a także w dwóch następnych tomach, jakie Kasprowicz zdążył wydać przed wybuchem drugiej wojny światowej — „CHWASTY PŁONĄCE” (1937) i „FLET CZARODZIEJSKI” (1939). Ten okres twórczości Antoniego Kasprowicza różnił się od poprzedniego, w którym był oceniany przez krytykę. Pewien jej odłam uznawał za interesujące dokonania poety, ale nie ze względu na artystyczne czy poznawcze, z czym nie zawsze można się zgodzić. Dla tej grupy krytyków najważniejsze w poezji wydają się osiągnięcia formalne, prekursorstwo, tworzenie nowych struktur językowych, odkrywanie nowych sposobów poetyckiego widzenia. Owi krytycy zdają się zapominać lub nie dostrzegać, że poezja Kasprowicza niesie z sobą przede wszystkim wartości humanistyczne, które nadają jej wybitną rangę.

Zacytujmy wypowiedzi towarzyszące ukazującym się tomikom Kasprowicza. Toczył się wówczas żywy spór o to, czym jest lub może być poezja. Pisz-

w 1938 roku Marian Piechał: „W czasach, kiedy poetów mierzy się metaforami, udatnym sfastrygowaniem najmniej znaczących słów i pojęć, drugi nawet tom doskonałych wierszy Kasprowicza („Chwastów płonących” — przyp. J.W.) nie mógł zwrócić niczyjej uwagi. A przecież talent to samorodny, krzepki i dziwnie świeży. Wiersze Antoniego Kasprowicza to poezja optymizmu i siły, siły tak charakterystycznej dla warstwy, z której pochodzi”.

Natomiast Hieronim Michałski, zwracając uwagę na poszerzenie formalnych możliwości poety od chwili debiutu, „wyznacza tej twórczości gośne uwagi miejsce w naszej współczesnej poezji i nadaje jej znamię jednego z największych oryginalnych zjawisk wśród liryków młodego pokolenia. Niezwykłość charakteru wewnętrznej znajduje swoje odpowiedniki w sferze kształtu artystycznego, który w niejednym wypadku daje osiągnięcia godne miana prawdziwej poezji”.

A jeden z najwybitniejszych ówczesnych krytyków literackich K. W. Zawadzki, na łamach „Życia Literackiego” tak ocenia poetycką twórczość Kasprowicza: „Zadziwia wprost w tej książce robotnika łódzkiego poziom kultury literackiej (i ogólnej), sprawność ekspresji i techniki poetyckiej... Tomik ten legitymuje Łódź, jako środowisko poetyckie, gdzie taki „awans” intelektualny i takie zrozumienie poezji były możliwe i spotkały się z pomocą... Bogactwo słowa A. Kasprowicza i jego przyrodzona harmonia (tego się nie nauczyli) są tak wielkie — a przecież w potoku słów nie ginie sens i jedność utworu — że niejedną z tych wierszy mógłby być podpisany przez poetę o ustalonych pozycji i skrytykowanym ostatecznie obliczu”.

Przytoczyłem powyższe cytaty dość obszernie z dwóch powodów. Po pierwsze, są rozproszone w archiwalnych egzemplarzach gazet, a więc praktycznie nieosiągalne dla większości czytelników. Po drugie, są współczesnych, pozbawiony chłodnego racjonalizowania, bogatszy jest o emocje i opinie aktualne, świeże, polemiczne w stosunku do obowiązujących kryteriów. Przede wszystkim jednak — wyrażają mi się szczerze!

Wróćmy jeszcze do Władysława Broniewskiego, który wypowiadając się o poezji Kasprowicza w 1961 roku znalazł praktycznie cały dorobek poetycki autora „Słoneca za murem”. Przypomnijmy bowiem, że w roku 1957 ukazał się „POEMAT ŁÓDZKI”, będący epicką próbą przekazania obrazu Łodzi lat trzydziestych — miasta rewolucyjnej walki proletariatu. Broniewski wysoko ocenia ten utwór: „Oto zadatek eposu łódzkiego. Nie podolał mu Remont ani Tuwim. Drapieżny i miejscami piękny wiersz Kasprowicza powinien sięgnąć po wielką dla niego szansę stworzenia „posągu pracy” — Łodzi w jej historii i trwanie”.

Wcześniej jednak Broniewski pisze: „Nasuwa się pytanie, czy wasko zacieśniona tematyka poezji Antoniego Kasprowicza pozwolił poecie utrzymać się w dyscyplinie zwanej poezją? Czy spoza kominów fabrycznych strajków, walk i innych akcesoriów walki robotniczej da się ujrzyć świat dobowy? Świat, który by jakoś ułaził negatywy życia z tym, o co się walczy”.

Wątpliwości wybitnego poety podzielił niejako sam autor „Poematu łódzkiego”. Odpowiedział na nie seria książek prozatorskich, które stają się przedmiotem naszych rozważań. Czy Kasprowicz odpowiedział w sposób pełny? Trudno osądzić. Jego twórczość to rozdział nadal otwarty.

Wbrew pokutującą jeszcze tu i ówdzie mitom Łódź międzywojenną nie była kultural-

## ANTONI KASPROWICZ

### NA ŚMIERĆ POETY

I rozpachniał się wieczór czerwcowy sadowym  
szelclem radości,  
rozebrzmiał rzeniem ogierów, porykiem krów pod  
brzezimą.  
Spoil go miękkim brzękiem komarów chmarnych na  
moście  
i trąbieniem trzmiela radosnym, trąbieniem  
czerwonym jak wino.  
Gorącym pianiem koguta, koguta z krasnym mieczem,  
żabim skrzeprechtem brunatnym, jak dno bagnistej  
sadzawki,  
traczy skrzydlatych cykadą pod bładożółtym  
mleczem,  
pod chwastu kiścią bladą, pod chorym sercem  
człowiczem.  
Pęczniał, nabrzmiwał dojrzaniem i snem  
wykwitnął.  
Sen minął...  
z tomu „Chwasty płonące”

### BALLADA O ZIELONYM WĘDROWCU

A kiedy roślinnością napelnią swe ręce,  
Jest jak derwisz Bajazit, gdy popadał w szal,  
I niczego, niczego nie pragnie już więcej,  
Byle tylko w zachwycie tym zielonym trwał.  
Choćby kostur wędrowny znów utracił miał  
I torbę wymotaną z kądziolki pajęcej,  
Na której po przywoju do tej pory spał,  
Zanim go chwast nie zbudził puszystym muśnięciem.

O hej! Popatrzcie tylko, jak znów będzie rwał  
Kopytnik, podwierzując z miłości zwierzęcej.  
On to w żmudnej wędrowce dostąpił dziś łaski,  
Do niego lecą muszki, komary i ważki.

Do niego — jaszczur, do niego — ślimak pełnie płaski.  
To nad nim trel skowrończy rozdzwiewał w radości  
I światłość się uniosła z dzikiej roślinności!

### NAD WIERSZEM

I zaczął opowiadać,  
a tak sugestyjnie,  
że się zaczęły dziać dziwy  
przedziwne.  
Aż wreszcie w blasku  
słonecznych promieni  
dotknięciem dźwięku  
mnie, Abba przemienił:  
w trujące ziarno piasku,  
w jaszczurkę płaską,  
w nikle żdźbło trawy,  
w uschły bałdy rdzawy,  
w rózę palającą  
i oślepnęła ptaka...  
A kiedy człowiczą przywrócił mi postać — zapłakał.

z tomu „W cieniu Oriona”

na pustynią. Różne były przejawy życia literackiego w tym okresie: ukazują się pisma artystyczno-literackie, powstają grupy poetyckie. W roku 1928 błyśka na krótko „Meteor”, w kilka lat później zjawia się społeczno-literackie „Prądy”. Działa awangarda plastyczna, teatr robotniczy. Rozgłosna Polskiego Radia. Nazwisko Antoniego Kasprowicza przewija się w tamtym okresie dość często: jako autora wierszy, reportaży, audycji radiowych, uczestnika wieczorów poetyckich. Zaczyna podówczas zwyczaj recenzowania audycji radiowych lub zamieszczania sprawozdań z wieczorów autorskich (tak) pozwala na stwierdzenie dużej aktywności życia umysłowego miasta, w którym artysta proletariusz, dzięki pomocy lewicowej intelektualnej, może działać i tworzyć.

Nie oznacza to jednak, iż w egzystencji poety zaszła zmiana na lepsze. Kasprowicz nadal częściej jest bezrobotnym niż pracując, ze względu na swe przekonania trafia do kartotek policyjnych, zostaje aresztowany. Na krótko przed wojną jest urzędnikiem w Wojewódzkim Biurze Funduszu Pomocy Bezrobotnym, ale praca ta ma charakter dorywczy, nie powoduje zmiany statusu społeczno-

W dniu 31 sierpnia 1939 roku zostaje przewidyjnie aresztowany i skierowany transportem kolejowym do Berez Kartuskiej. Po kilkudniowej peregrinacji ucieka z transportu podczas bombardowania. Zagarnięty przez Niemców z grupą uciekinierów i tułaczy, zesłany zostaje na roboty przymusowe do Prus Wschodnich. Tutaj, jako bauerski parobek, w niedzy, ponizeniu i wyniszczającej zdrowie pracy przeżywa kilka lat. Pod koniec wojny ucieka przez dwa fronty do wyzwolonego przez Armię Czerwoną Wilna. Po zakończeniu działań wojennych przez kilka miesięcy przebywa na Litwie, pracując jako nauczyciel w progimnazjum. Wraca pierwszym transportem do wyzwolonej Łodzi. Tutaj próbuje różnych prac: jest kierownikiem wydziału propagandy w Rozgłosni Polskiego Radia, później inspektorem w Centrali Tekstylnej, następnie inspektorem w Stowarzyszeniu Autorów ZAIKS, gdzie działa przez 20 lat, do chwili przejścia na emeryturę.

W tym okresie jest również działaczem kulturalnym i twórcą, choć pisze niewiele i publikuje rzadko. W pospolitym rozumieniu nie jest literatem profesjonalnym, ale w moim odczuciu reprezentuje ten rodzaj ludzi pióra, którzy pisa za potrzeby serca, będącej najwyższym nakazem moralnym. Publikuje stare i nowe wiersze, m.in. ukazuje się tom „W CIENIU ORIONA” (1967), ale w jego twórczości zaczyna dominować nowelistyka. Nie wszystko, jak przeczuwał Broniewski, potrafił Kasprowicz przekazać swoim czytelnikom w formie wierszowanej. Doświadczenia całego życia, bogactwo wiedzy o robotniczym środowisku umożliwiły mu napisanie szeregu książek prozatorskich, bez których trudno sobie wyobrazić obraz łódzkiej literatury. Ukazują się kolejno „ZŁODZIEJE OWOCÓW” (1964), „POD KWI-TNACYM KASZTANEM” (1966), „DZIELNICA PLEBEJUSZÓW” (1971), „OPOWIADANIA ŁÓDZKIE” (1972) i ostatnia z dotychczas opublikowanych książek: „ICH DZIEŃ POWSZEDNI” (1977).

W swojej prozie pozostał Kasprowicz wierny sobie. Daleki od ambicji nowatorskich, poszukiwań formalnych, skupia uwagę, swe wrażliwe i czule spojrzenie na tym, co stanowi echo jego młodości. To już przeszłość, historia, okrucy dawnego, nie istniejącego świata. Kasprowicz ocala go dla potomnych, świadomy, iż jest to jedyna droga zachowania go w ludzkiej pamięci. Bowiem w stosunku do tego świata nie znaj-

dzie się już żadnego punktu odniesienia wpływającego z doświadczeń wstępujących pokoleń.

Pisze Władysław Szwedowicz w „Nowych Książkach”: „Granice i możliwości Kasprowicza jako prozaka wydają się zawierać między prymitywizującym autentyzmem twórczości ludowej a sztuką „profesjonalną”, między dokumentem a fikcją literacką, między senymentem do „kraju lat dziecińczych” a świadomością wszystkich ciemnych stron opisywanych czasów”. Sad to uproszczony, typowe dla niektórych krytyków zaszkladkowanie. Człowiek bez cenzury naukowej, piszący prosto i bezpretensjonalnie, czerpiący z bogactwa własnych przeżyć, pozostanie dla nich zawsze prawdziwym autentystą.

Łatwiej mi więc zgodzić się z opinią Jana Kasprowskiego wyrażoną na łamach „Odgłosów”: „Gdy czyta się te opowiadania, ma się przekonanie, że ich urok i siła leżą poza wszelką formą. W samym materiale, w samej obserwacji, w samym autentyzmie opisywanych postaci i wydarzeń”.

Jest to jednak także spojrzenie nieco zawężone, pomijające całą sferę wrażliwości artystycznej Kasprowicza, jego swoisty styl, język bliski potocznemu, ale subtelnie różnicowany, obrazowanie niewyszukane, skrótemu jednak nieobcy jest krótki myślowy i nośna uosobniająca metafora. Unikając nadmiernej ekspresji, Kasprowicz nie epatuje tania egzotyka środowiska, nie udziwnia i nie fałszuje. Odnosi się do swoich bohaterów życzliwie i ciepło, nieśladko jednak nie szczędzi im ironii, daleki będąc od jednoznaczności sądów. Jego proza odznacza się wrażliwością na ludzką krzywdę i chęcią usprawiedliwienia czynów nie zawsze zgodnych z ogólnie przyjętymi zasadami. Posiada ona wysokie walory społeczne.

Bez względu na to, jak by nie oceniać twórczości Kasprowicza, jedno jest pewne: miał szczęście do krytyki literackiej, nie zdobył miejsca na ogólnopolskim Parnasie. Szkoła, bowiem zasłużył sobie na większe zainteresowanie. Tłumaczył to jedynie moim obserwowanym od dawna zjawiskiem dezintegracji życia literackiego w kraju. Mimo, iż nawołujemy do likwidacji wszelkich regionalizmów, pozostają podziały na pisarzy łódzkich, śląskich itp. Casus krytyki ogólnopolskiej „nie zauważającej” twórczości Kasprowicza w pełni to potwierdza. Świadczy o tym fakt, że wszystkie jego książki ukazały się w łódzkiej oficynie wydawniczej. Tak czy inaczej, dług krytyki literackiej pozostaje wobec Antoniego Kasprowicza do spłacenia, i nie wątpię, że tak się kiedyś stanie.

Antoni Kasprowicz jest człowiekiem niezwykle skromności. Kiedy otrzymał w 1975 roku Nagrodę Miasta Łodzi za twórczość literacką, był tym zaskoczony i zażenowany: „Tyłu jest kolegów bardziej zasłużonych, godnych...” Był to fedrak skrupuły nieuważadłone. Zasłużył się swojemu miastu i ono o nim nie zapomniało, jest z niego dumne. Za prace pisarską i działalność społeczną Antoni Kasprowicz otrzymał szereg odznaczeń: Złoty Krzyż Zasługi, Medal 30-lecia PRJ, oraz Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Kilka lat temu przyznano mu nagrodę Towarzystwa Przyjaciół Łodzi. Ale myślę, że dla Antoniego Kasprowicza najwyższą nagrodą jest jego popularność w środowisku robotniczym, szacunek, jakim darzą go ludzie, którzy mogą z całkowitą pewnością powiedzieć, że jest jednym z nich.

JERZY WAWRZAK



# SZCZĘŚCIE I ŁYZKA DZIEGCIU

Prezesi spółdzielni mieszkaniowych sprawiają człowiekowi przyjemność dwa razy w życiu. Raz, kiedy się stają grabieżą przy poznaniu, drugi, kiedy znajomość zostaje przetrwana z racji (nareszcie!) wręczenia kluczy do mieszkania. A więc zupełnie jak z samochodem. Ania T. (nazwisko i adres brzmiały: ul. Sienkiewicza 101/109) znane zarówno redakcji jak i zarządowi Łódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej usłyszała z ust prezesa wyrażoną w nawiasie spółdzielni następujący komentarz do klucza: „Byłem w tym mieszkaniu. Ma pani wyjątkowe szczęście (podkreślenie prezesa). Jest to mieszkanie wspaniale wykonane”. I rzeczywiście. Klucz pasował do dziurki jak uł. Małżonek Ani T. otworzył drzwi bez trudu, przesiadł Anię przez próg. I ręce mu opadły. Okazało się bowiem raz jeszcze, że szczęścia każdego sobie inaczej wyobraża. Ich szczęście, to wyjątkowe, narastało z minuty na minutę, z godziny na godzinę, z dnia na dzień. Reasumując, polegało na następującym.

W wazulce kuchni, po której chodzić trzeba bokiem, w jedynym miejscu nadającym się do postawienia szafki zamontowano kaloryfer. Ledwie jednak zaczęły się tym martwić, gdy uchyliły się drzwi wejściowe i dwa panowie ubrani w waciki, jakby cudownym przecuciem wiedzeni zjawili się w kuchni, napelniając ją tzw. „chuchem” i szczerym młodzieńczym śmiechem. „A cóż to za idiota wmontował państwu kaloryfer tam, gdzie powinna stać szafka? Przecież kaloryfer powinien być tam, wyżej. Możemy to państwu za 500 złotych od razu przestawić”. I przestawili.

Już mieli wychodzić, ale coś ich tknęło i zajrzeli do łazienki. „Rany boskie! — zawolali pobożnie. — Co za idiota zastawił wnękę wewnątrz! Przecież wanna powinna stać o tutaj, i wtedy mogliby państwo wykorzystywać wnękę. Ale za trzy otki możemy to państwu przestawić”. Nic przestawili, gdyż nie każdy dysponuje nieograniczoną ilością setek i tysięcy. A poza tym okazało się, że mieszkaniem wykafarowano przed oddaniem do użytku następnego cementowni, w związku z czym brakło tynku. Na całej powierzchni ścian widniały pokaźnej wielkości dziury, od dołu

zaś nie docięgnięto zaprawy do samej listwy. Uzupelnienie braków kosztowało tysiąc złotych i sześć piw. Antena telewizyjna umieszczona na balkonie, wtyczki do jednego gniazdek pasowały, do innych nie. Przez kilka dni szczęśliwi lokatorzy zastanawiali się, jakiego też koloru jest terakotna w łazience i ubikacji. Dowiedzieli się, kiedy sprowadzony przez krasnoludki specjalista oczyścił ją za 300 zł i dwa piwa.

Takich i innych przykładów wyjątkowego szczęścia (ukłony panie prezesiel) można by przytoczyć bez liku. „Odgłosy” nie są pierwszym pismem, które je publikuje. Budz, niepokój fakt, że są to działania powszechnie znane, a nie słychać jak dotąd, by ktokolwiek przeciwko podobnym praktykom wystąpił. Zapewne głos w tej sprawie winną zabrać prawnik, może prokurator. Z całą pewnością twierdzić można, że stanowią oczywiście łamanie zasad społecznego współżycia.

Ala, zostawiając stronę prawną i analizy prawnikom, należy na sprawę spojrzeć z innego jeszcze punktu widzenia. Bezsilność szczęśliwców o trzymających mieszkania jest w naszym kraju bezsilnością wszystkich, którzy potrzebują cudzych usług. Na podobieństwo chłodo-robotników wsiadczych kuł u nogi rolnictwu, grasują w miastach robotniko-usługowcy zbijający pieniądze nie tylko na własne nieuczciwość.

Rozwijając nasz rodzimy przemysł nasze budownictwo, przeciętlny człowiek, bez względu na zawód może sobie wykonać sam. Pod warunkiem, że będzie wiedział, jak się to robi i będzie miał bez większego kłopotu nabyć niezbędne narzędzia i surowce. Najłatwiej o przekonywający argument w dziedzinie malarstwa pokojowego. Warto wiedzieć, że jeżeli malarze pokojowi oraz partolci podające się za malarzy biorą za pomalowanie pokoju średniej wielkości kilkaset złotych, to potrzebna do tego farba, nawet ta tzw. „gotowa” a więc droższa kosztuje zaledwie 60-70 zł. Pokój pomaluje każdy, kto umie przeczytać przepis na torebce, i ma tyle siły w reku, by poruszać pędzlem. Twierdzą, że prawie w każdej dziedzinie usług można sobie więc-

szczość rzeczy zrobić samemu, pod warunkiem, że powstanie dla chętnych korzystna atmosfera.

Odpowiednikiem braku szerszego zainteresowania dla poruszonej sprawy jest ubóstwo pod tym względem polskiego języka. Przetłumaczyliśmy angielskie „do it yourself” na „rób to sam”, tego zaś, kto robi sam, nazwaliśmy nieudolnie „majsterkowiczem”. Od wielu lat działa w Polsce wspaniały popularyzator zainteresowań technicznych na co dzień, Adam Słodowy, ale jego umiejętności, wycena i zdolności pedagogiczne nie zdają się wywierać wpływu na społeczeństwo. Jedyne „Czuj-Czyn” i składnica harcerska zdają się prowadzić działalność handlową sprowadzając majsterkowiczom, ale jest to działalność prowadzona na zbyt małą skalę, a przy tym jakości sprzedawanych narzędzi jest często tak podła, że raczej zniechęca.

Co więc należałoby zrobić, by szariatano i farmazonom udającym przed południem pracowników budownictwa, a po południu wydłużających pieniądze od niezadowolonych radzenia sobie samemu z drobnymi naprawami, a nawet z całkowitym wykonaniem niektórych drobniejszych potrzebnych w domu.

Rzecz zastanawiająca — majsterkowanie rozumiane nie jako hobby, ale jako potrzeba jest bardzo popularne w zamożniejszych społeczeństwach Zachodu. Przed kilku laty odwiedziłem wystawę zorganizowaną pod hasłem „Do it yourself” w londyńskiej Olimpii. Ogromna jej przestrzeń była wypełniona stoiskami firm mających siedziby w różnym kraju. Znalazłem też stoisko polskie. Opiszę je jednak na końcu.

Wielką Brytania dysponuje dziesiątkami a może setkami wytwórni pracujących dla potrzeb majsterkowiczów (pozaostatni przy tej nazwie z braku lepszej; ale w artykule tym słowo majsterkowicz nie oznacza hobbyista zabijającego nudę wolnego czasu przy użyciu młotka, wiertła czy struga; owszem, nie gardzi on zabawą w technikę, ale wykorzystuje ją też swe umiejętności, by samemu dokonywać domowych napraw, przeróbek, innowacji). Na tej wystawie i podobnych urządzonych dziś jeszcze i coraz częściej uwagę amatora robót ręcznych przyciąga silniczek wykonany w kształcie rewolweru oraz małostwo przyrządów przez ten silniczek uruchamianych. Tak wiec można sobie kupić, komplet ślusarski dający amatorowi możliwość cięcia, pilowania, frezowania metalu, wiercenia otworów, nacinania gwintu, ostrzenia narzędzi. Myślę, że komplet ślusarski cieszony się jednak mniejszym powodzeniem niż stołarski. Ten stwarza amatorowi możliwość nawet wykonywania mebli o nader skomplikowanych kształtach i trudnych sposobach łączenia drewna z drewnem. Producenti tych rzeczy widzieli za punkt wyjścia fakt, że przeciętnemu amatorowi brak precyzyjny wycinaniu elementów, które powinny do siebie wzajemnie pasować. Przyrządy, o których mowa są tak skonstruowane, że nawet człowiek, jak to się mówi — „mający dwie lewe ręce” przyłoży deskę, gdzie trzeba, nacisnie włącznik silnika i przyśnie zgodnie z instrukcją, pod kątem prostym i z dokładnością do kilku części milimetra.

Silnik i poszczególne przystawki mają odrębną cenę. Kupuje się, co jest w danej chwili potrzebne, albo na co ma się pieniądze. Aby zorientować Czytelnika w cenach tych urządzeń, podaje, że w „Czuj-Czyn” ukazały się silniczki o jakichś mowa, na tę informację i opuścił teren zakładu...  
Bo Leon Tyll już raz uzyskał identyczną informację w Łódzkim Zakładzie DDD, w październiku zeszłego roku. Nakupił wskazanych preparatów, wszystkie do cna wypryskał i przekonał się niezbicie, że szerzenie nie sobie z nich nie robią. A „Muchozol” bardzo im smakuje. Wyraźnie nabierały po nim nadzwyczajnego wigoru.

W obawie, że z nastaniem wiosny szerzenie zbudzi się ze snu zimowego Leon Tyll udał się po ratunek do środków masowego przekazu. Głosem pełnym grozy opowiedział o strasznym losie swojej rodziny terroryzowanej przez owady. Zyczyliwy pomysłodawca z Bydgoszy rzucił owady nolać klejem, najlepiej stołarskim. „Skrzydłka im się poskleja — rozumował — i będzie spokój”. Wiele osób podpodało, aby gniazdo podpalić, właśnie teraz, gdy jego mieszkańcy zaczęli śpić. Zapomniał, że dom pp. Tyllów mógłby przy okazji się zapaść i doszedłby spłonąć bo jest drewniany. Równie ryzykowna wydała się oferta naukowców z Wydziału Chemii Politechniki Łódzkiej dysponujących substancją o nazwie „Dichlorofos”. Sami wszak przyznali, że kilka kropli wystarczy do natychmiastowego wytrucia nie tylko szerzenia.

Pewien anonimowy poeta, szczerze obdarzony wena, dał wzruszający dowód troski o los terroryzowanej rodziny nadsyłając na pociechę własny utwór wierszowany ob-

produkcji polskiej, marki „Telma” przypominające kształtem i wielkością to, co produkuje np. brytyjska firma „Black and Decker”, w cenie 3.100 zł. Gdyby zachować proporcję jakiej się trzymają Brytyjczycy, owe urządzenia dodatkowe byłyby w cenie od 100 do 1.500 zł. A zabawa i pożytek ogromne. Liczba oraz rozmaitość tych dodatków również wielka. Widziałem nawet przeznaczony dla zwiariowanych na punkcie swoich ogródków Anglików — komplet ogrodniczy. Zawiera on m.in. przyrząd do spulchniania ziemi na grządce. Jest to metalowa rurka, zapatrzona na dolnym końcu w stalowy wiatraczek. Z góry doczepia się silnik, zagłębia wiatraczek w ziemię i można w ten sposób „skopać” grządkę, nawet się nie schylając.

Macn nadzleję, że nikt mnie nie posądzi o propagowanie wiatraczków do spulchniania ziemi. Rzeczy śmiesznych należących do gatunku „rób to sam” można zobaczyć na Zachodzie więcej. Można sobie samemu namalować obraz siawnego mistrza, albo wyrzeźbić krasnoludka do ogrodu. Sprzedaje się więc obraz Matisse’a narysowany na płótnie. Całość podzielono na kawałki odpowiadające poszczególnym plomom barwnym. Tych plom jest, powiedzmy 36, każda ma na rysunku swój numer. Razem z plótnem kupuje się komplet 36 farb olejnych, ponumerowanych, wystarczy farbą nr 8 pokryć wszystkie kawałki obrazu oznaczone tymże numerem, to samo z innymi numerami, a otrzymamy Matisse’a bardzo przypominającego oryginał, a zrobionego własnoręcznie. Do wykonywania rzeźb służą gumowe, elastyczne foremki. Nalewa się do takiej gipsu, czeka 10 minut, ściga foremkę i krasnoludek gotowy.

Również bardzo odległe od idyllicznego społeczeństwa do techniki były eksponaty zaprezentowane przez jakiegoś przedstawiciela Polski, który nie rozumiał o co chodzi i pokazał kosze wiklinowe jako przykład polskiego majsterkowania. Obok, w stoisku nigeryjskim stały figury boczko wykonane metodą chałupniczą z drewna.

Zatrzymałem się dłużej przy owych kompletach mechanicznych, gdyż zgodnie z moim głębokim przekonaniem, możliwość zaopatrzenia się w podobną rzecz w kraju to rozwiązanie połowy problemu usług i opłatnych na początku wyłudzeń. A kto wie, może też przyczynę do rozwiązania niektórych innych naszych problemów społecznych. Łatwo się przekonać, jakie człowiekiem targają uczucia, kiedy musi coś w domu zrobić, a po dokładnym przejrzaniu narzędzi okazuje się, że jedyną jakim dysponuje to dziesięć palców.

Jednym z najkosztowniejszych i najbardziej kłopotliwych zabiegów nad utrzymaniem mieszkania w stanie używalności jest okresowy remont połączone z malowaniem. Oto różnica w terminologii, nieodłączna od treści. My mówimy o „malowaniu”, Anglijczyki nazywają to samo „decoration”. U nas pojawiają się dwa główne problemy: czy malarz jest alkoholikiem oraz — jaki klasz rzuć na kolorze. W mieszkaniu Wacława Biłlińskiego w dwa tygodnie po „malowaniu” zjawili się malarz i poprosił o zwrot pół litra zostawionego za szafą. Komputerek okazało się pracował. Tamci za Kanalem martwią się o wzór na tapecie i rodzaj zasłon. Rzecz interesująca — tapety mamy obecnie w ogromnym wyborze, ale ich popularzacja postępuje dość wolno. Polska straszy proces przyklejania papieru do ściany. Kochana,

a jak się w tym pluskwy załączą? A ci obrzydliwi kapitaliści sprzedają tapety hektarami wraz ze wszystkimi narzędziami ułatwiającymi ich przyklejenie i dokładną instrukcją. Jeżeli ktoś lubi malowanie, też znajdzie wszystko, co mu potrzebne: farby, pędzle, a przede wszystkim walki pozwalające absolutnemu laikowi pokryć ścianę farbą w sposób idealnie jednolity. Dołącza się oczywiście instrukcje.

Obywatele, nie wiercie w ziele ręce tych partoiów, którzy was odwieżdżają i za pół litra i ileś tam setek czy tysięcy wykonują, paskudnie wykonują w stalowy remonty. Oni się uczą na Was. Miałem do czynienia ze „specjalistą” od przyklejania terakoty do posadzki. Za sedesem połozyl ją równo, kiedy zaś doszedł do drzwi, okazało się, że równo nie wychodzi. Wyszło w ząbki. Ale ilość setek od metra wymieniał bez zająknięcia. Dziś chyba już umię. M.in. za moje pieniądze.

Zmobilizowanie społeczeństwa, by samo sobie wykonywało usługi to z pewnością sprawa, której się nie da załatwić z dnia na dzień. Wpierw muszą być spełnione pewne warunki. Oto niektóre z nich. Możliwość kupienia narzędzi i materiałów. Niektóre materiały już są do nabycia, np. tapety, farby „gotowe”. Jeśli idzie o narzędzia, nie dajcie się nabrąć na komplety sprzedawane w sklepach harcerskich. Są bardzo złej jakości. Neofita, który spróbuje sił w domowym remoncie, a zlanie mu się pilnik lub wygną kombinerkę, może się zrazić na długo. Są pewne sygnały, że albo niektóre narzędzia a może nawet opisane zestawy będą importowane, albo produkowane w kraju. Niedawno odbyła się bowiem w Warszawie wystawa, na której firmy francuskie, angielskie i szwedzkie pokazały swoje cuda, a „Apolo” zabięgał o znalezienie producentów tych rzeczy w kraju.

Warunek drugi to konieczność zachęcenia profanów dobrą instrukcją. Nie świeci garnki lepia. Mądrość tego przyszłością sprawdzą się bardziej w tej niż w jakiejkolwiek innej dziedzinie. Kochana, przykleić tapetę jest wcale nie trudniej niż wyprać bieliznę. A nie brudzi tak jak malowanie.

Warunek trzeci to likwidacja obawy przed dziełem własnych rąk. Przykład tego, jak silnie może działać nawyk, tradycja nawet bolesna stanowić może ów wózek na dwóch kółkach zastępujący siłkę na zakup, choć od lat produkuje się tę rzecz w kraju, w Łodzi można raz na kwartał spotkać kobietę wiozącą zakup. Wszystkie imię noszą, ale mają tę satysfakcję, że mogą wciągnąć narkę na ból w rękach obciążonych ciężarem ponad siły.

Warunek następny, to reklama tego, czym w tej dziedzinie dysponujemy. O owych farbach, którymi można samemu malować ściany o tapetach wiedzą tylko ci, którzy przekroczyli barierę wtajemniczenia i bez obawy niebezpieczeństwa chwytają za różnego miotek jak pędzel. Obok pozytywnej składinad instytucji, jaką jest „Praktyczna Pani” widzę oczywiście wyobraźni „Praktycznego Pana”. Ale przestańmy to nazywać nieuczciwym hobby, albo zabijającym czas majsterkowaniem. Umiejętność posługiwania się narzędziami, dokonywania remontów, robienia sobie samemu regalów i szafek to dziś konieczność. Chodzi bowiem o niezależnienie się od pasyżów podających się za rzemieślników i zachowanie dla siebie tych kilkuset złotych miesięcznie.

# SZERSZEREZADA

Trzy szerzenie mogą spowodować śmierć człowieka. Leona Tylla, lokatora domu jednorodzinnego w Łodzi przy ul. Jarzebinowej 3, uzadliły i zaraz poczuł jak mu wykrzywia się konwulsyjnie szczyka a reszta ciała ogarnia straszliwy bezwład. Ze nieszczeniłem jeszcze żyje za wdzieca li tylko sasiadowi, doktorowi S. Zbieg okoliczności sprawił, że lekarz akurat był w domu i usłyszał przeraźliwy krzyk sąsiadki, która już widziała się wdowa. Dr S. fachowo zrealizował nieprzytomnego i ostatecznie odratował podając serum przeciwjadowe.

Szerzenie w mieszkaniu zastał Leon Tyll po powrocie z urlopu. Chmury brykających beztruso owadów trzykrotnie większych niż osy, sorowały groźne wrażenie ale wydawały się być usposobione pokojo-

wo. Tyle, że natrętnie wycpały się do spiżarni i z upodobaniem wyzierały przygotowane już na zimę konfitury ze sliwek i wiśni. To właśnie najbardziej nie podobało się p. Tyllowi.

Pewnego dnia postanowił raz na zawsze przegonić ze swego domu uciążliwych sublokatorów. W tym też celu uzbrowił się w kij od szczytki, wszedł na dach i jał ostro szarżować gniazdo, mozolnie zbudowane przez szerzenie pod okapem wówczas, gdy gospodarz posesji wypooczywał nad morzem.

Ledwie p. Tyll tknął matecznika, a już tak rozwścieczył owady, że rzuciły się nań bez opamiętania. Najcięcej obsadły mu łydki, gdyż lekkością wybrał się do a-aku w krótkich spodniach.

Niepowodzenie szarży, której Leon

Tyll omal własnym życiem nie przypłacił przynębiająco wpłynęło na domowników cieszących się dotąd niezagrożonym poczuciem bezpieczeństwa i niepodzielnych praw do zamieszkiwanej posesji. Szerzenie terroryzowało całą rodzinę. Piecioletniego wnuczka pośpiesznie wywieziono i ukryto w krewnych mieszkających daleko od Łodzi. Dorosli chykiem wymykali się do pracy, gdy na dworze ledwie dniało i szerzenie jeszcze twardo spały, a wracali dopiero po zmierzchu, jak już mieli gwarancję, że rozżalone owady na pewno poszły spać.

Podstępnie, pod osłoną nocy, Tyllowie zabrali się do zamurowania gniazda pod okapem. Ktoś im jednak powiedział, że to na nie bo szerzenie nawet beton potrafią przegryźć... Leon Tyll zdał sobie sprawę, że w pojedynkę nie wygra wojny z szerzeniami. Wydukał, że trafnie będzie zwrócić się o pomoc do Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. Ale tam powiedziano, że pomocy musi szukać w Stacji Rejonowej dla dzielnic Bałuty, zgodnie z kompetencjami terytorjalnymi. Z kolei Stacja Rejonowa odesłała go do Łódzkiego Zakładu Dezynfekcji, Dezynsekcji i Deratyzacji.

Jak wynika z przedstawionej na piśmie relacji z-cy dyrektora Zakładu, mgr. Andrzeja Maniary „ob. Leon Tyll zgłosił się do sekcji technicznej o udzielenie informacji na temat zlikwidowania nekajacej plagi szerzenia. Wskazano na znajdujące się w handlu i dostępne dla ogółu preparaty areozolowe „Muchozol”, „Sanitol” i „Mrówkozol”, skuteczne w zwalczaniu tych gatunków owadów. Ob. Tyll zareagował dość nerwowo

na tę informację i opuścił teren zakładu...  
Bo Leon Tyll już raz uzyskał identyczną informację w Łódzkim Zakładzie DDD, w październiku zeszłego roku. Nakupił wskazanych preparatów, wszystkie do cna wypryskał i przekonał się niezbicie, że szerzenie nie sobie z nich nie robią. A „Muchozol” bardzo im smakuje. Wyraźnie nabierały po nim nadzwyczajnego wigoru.

W obawie, że z nastaniem wiosny szerzenie zbudzi się ze snu zimowego Leon Tyll udał się po ratunek do środków masowego przekazu. Głosem pełnym grozy opowiedział o strasznym losie swojej rodziny terroryzowanej przez owady. Zyczyliwy pomysłodawca z Bydgoszy rzucił owady nolać klejem, najlepiej stołarskim. „Skrzydłka im się poskleja — rozumował — i będzie spokój”. Wiele osób podpodało, aby gniazdo podpalić, właśnie teraz, gdy jego mieszkańcy zaczęli śpić. Zapomniał, że dom pp. Tyllów mógłby przy okazji się zapaść i doszedłby spłonąć bo jest drewniany. Równie ryzykowna wydała się oferta naukowców z Wydziału Chemii Politechniki Łódzkiej dysponujących substancją o nazwie „Dichlorofos”. Sami wszak przyznali, że kilka kropli wystarczy do natychmiastowego wytrucia nie tylko szerzenia.

Pewien anonimowy poeta, szczerze obdarzony wena, dał wzruszający dowód troski o los terroryzowanej rodziny nadsyłając na pociechę własny utwór wierszowany ob-

jętości niemal „Pana Tadeusza”. W epilogu sugerował: „Tak na chłopski rozum zdrowy, na oczek starczy kilka gromów atomowych...”.

Dla odmiany autor listu skromnie podpisanego „Rencisa S.” zagrzmiął: „Jestem pełen oburzenia na twch, co mordują szerzenie”. I loja! nie ostrzegł: „Nie chce was straszyć, ale jeśli nie uratujecie choć jednego szerzenia to popamiętacie!”... Pod presją publikatorów odesłał się też Łódzki Zakład DDD. Dyrekcja poinformowała, że „instruktor techniczny zapoznał się z sytuacją na miejscu przy ul. Jarzebinowej 3 (ob. Tylla nie zastał w domu), stwierdzając, że gniazdo szerzenia znajdujące się pod okapem należy potraktować silnie działającym preparatem owadobójczym o przedłużonym działaniu w okresie prze-wiosennym”. Zakład ma taki preparat. Nazywa się „Fican”. Zaraz opracowano precyzyjny harmonogram zaatakowania gniazda szerzenia w trzech rzutach. Dyrekcja zagwarantowała pełne powodzenie.

Ala nie pora jeszcze odtrącić zwycięstwa. Doświadczeni pszczelarze, których nikt wciężniej o zdanie nie pytał, uważają, że walka z szerzeniami teraz nie ma żadnego sensu. Szerzenie bowiem gina na zimę. Ze starego roku zostają przy życiu tylko matki, które przemysłnie chowają się w najrozmaitsze zakamarki, aby przetrwać do wiosny i złożyć własne roje. — Może nawet i dziesięć matek szerzeniowych dzieć drzemie w okolicy — prorokuja ze stoickim snokiem rzezelarze.

Życie więc pewnie jeszcze znajdzie dalszy ciąg „szerszerzady” nad Łódka...



# POKORNIE ZE STÓWA W GARŚCI

Czasy uprzejmości kupieckiej i do-  
brych manier urzędniczych skończy-  
ły się bezpowrotnie. Codziennie  
potykamy się o ludzką nie-  
życzliwość. Ekspedientki są oprys-  
kliwe, kasjerki oschłe, nie ma  
w zasadzie sklepu, magazynu, czy  
biura, gdzie mógłbyś załatwić sprawę  
bez nerwów. Truizmy. Ale rozwinię-  
cie cierpliwości. Zjemy w państwie  
królów. Za najmniejszym stolikiem,  
za najmniejszą ladą tkwi hrabia z  
księżniczką: twarz nieprzenikniona,  
oczy chłodne, usta odęte, jakby miały  
zaraz wybuchnąć pytaniami: No i  
czego tu chcesz?!

Uśmiechasz się, wdzięczysz, krygus-  
jesz. Już dawno nauczyłeś się pokor-  
y, chociaż w środku kłipsisze złości.  
Każdy zakup wymaga oddzielnego  
starań. Były tylko jakoś poruszyć  
bryłę uśmiechniętą po drugiej  
stronie barykad. Wpatrujesz się za-  
kochanym wzrokiem w sprzedawcę,  
kokietyujesz opisami rzeźniczkę, twoją  
miną, zależnie od okoliczności, wy-  
raża rozmaite obietnice: masz w mnie  
kochany (kochana) stówę, pół patyka,  
kwiaty, perfumy, fiolkę kokiaku,  
pudło czekoladek.

Jeśli jesteś kobietą, stwarzasz wzo-  
r, że pan za ladą będzie miał z  
ciebie pociechę. Od tego zależy twoje  
mięso, para butów z importu  
spódniczka dzinsowa, kawa, meble  
bateria sztorcowa i papier toaletowy.

Każdy z nas drży ze strachu prze-  
kraczając próg pralni, każdy z nas  
bowiem słyszał sto razy następujący  
dialog:

— Tęgo płaszcz nie mogę przyjąć.  
— Dlaczego?  
— Bo jest brudny.  
— Gdyby był czysty, nie odda-  
wałbym go do pralni.  
— Niech pan spróbuje gdzie in-  
diej.

No i zaczynasz próbować — na  
mokra, na sucho, krążąc od punktu  
do punktu z bezpodstawną nadzieją.

Każdy z nas słyszał dialog:

— Jest przecier pomidorowy?  
— Nie ma.  
— Znajoma mówi, że przed godziną  
u państwa kupiła.  
— Zostawiłam dla siebie dwie pu-  
szki — mówi z bolesną miną eks-  
pedientka — ale cóż, odstąpię panu.  
I sięga do jakiegoś zakamarka.

Dorze wiemy, że w sklepie jest  
drugi sklep, gdzie przechowuje się  
najbardziej poszukiwane towary.  
Z kolei między sklepami i  
innymi placówkami trwa pod-  
ziemna wymiana produktów, grzecz-  
ności i usług. Fryzjerka, która  
często ekspedientkę, dostanie od tyłu  
szynkę i schab. Pionek z władzągo  
urzędu nie nastoi się za cytynami.  
Ja ci to, ty mi tamto, ja ci sio, ty  
mi owo.

Wróciliśmy w pewnym sensie do epo-  
ki handlu wymiennego, pieniądze nie  
są tu w zasadzie potrzebne. Zeby  
brać, trzeba mieć coś do zaofiero-  
wania w zamian: kawior za bilet sy-  
pialny, kryształ za skierowanie na  
wczasy.

Jeśli jesteś wziętym fachowcem —  
stolarzem, kafelkarzem, hydraul-  
kiem, także, rzecz jasna, lekarzem  
i mechanikiem samochodowym — nie  
zginięz. Twoja wiedza i umiejętności  
są wymienne. Ale co ma zrobić  
wykuli człowiek.

Czyli odwiedźmy się wózkarczy  
zakładów dziewiarskich albo przy-  
kad? Konduktor albo portier? O! Ma-  
ster albo robotnik budowlany, to już

całkiem inna sprawa: u nich do-  
ta-niesz wspomnianą baterię sztorcową  
odpowiednią rurkę gazową, lewy ce-  
ment, trochę cegieł, pod warunkiem  
oczywiście, że nie wahaasz się sięgnąć  
po czyjąś własność. Oni tam, na  
budowie, kiedy pytasz o jakiś dro-  
biaż, mają swój dowcipny kod:

— Ile piątek?  
— Na pół?  
— Co na pół? Ta rura?  
— Nie, na pół rury.

Kiedy drobiaż jest większy, pla-  
cisz „na całą rurę”. To samo w skle-  
pie kosztuje dziesięć lub piętnaście  
złotych, no, ale w sklepie bywa raz  
na rok, i to pod ladą...

Spod lady sprzedawano się ostatnio  
licencyjne papierosy Marlboro. Za  
dwa kartony, które kobieta chciała  
wywieźć na handel do Austrii, kiosk-  
karz dostał (ekstra) bombonierkę.  
Spod lady idzie Express i Klubowe.  
Spod lady Caro, które — jak twier-  
dzi szatniarz z Grandki — przywie-  
dziło mu dzisiaj rano z Warszawy.  
Spod lady odżywia dla dzieci Hu-  
mana. Spod lady takie gupstwa, jak  
baterie E-14 do tranzystorów, kloki  
do zabawy dla dzieci, nieraz także  
zapalki.

Parę dni temu nie znalazłem w  
dwóch kolejnych kioskach żadnych  
absolutnie żyłek do golenia i wpad-  
łem w panikę. Jeśli nie ma w dwóch,  
nie będzie także w trzecim, czwar-  
tym i dziesiątym — pomyślałem i  
nie myślałem się. Dostałem wreszcie  
od milej panienci — spod lady.

Kiedy sygnalizowałem niniejszy  
temat na zebraniu redakcyjnym, wy-  
buchła ożywna dyskusja. Jakkol-  
wiek wszyscy koleży zgodzili się z  
krewanym przeze mnie obrazem  
wysuwali różne przyczyny istnieją-  
cego

go stanu rzeczy — jedni dopatrywali  
się zła w niedostatecznym zaopatrze-  
niu, inni — w wadliwej dystrybucji.  
jeszcze inni w skłonnościach psychi-  
cznych ludności, krótko mówiąc: w  
pazernym skupowaniu wszystkiego,  
co się ukaże. Niektórzy bronili te-  
ż, że tak czy owak każdy tam kawalec  
mięsa na obiad najdzie tyle że się  
trzeba za nim solidnie nachodzić.  
Nie mam ambicji rozwiązania tego  
problemu, chcę go tylko zasigna-  
lować z nadzieją, że stanie się punk-  
tem wyjścia do obszerniej prasowej  
dyskusji, do której, być może, za-  
chcę włączyć się czytelnicy. Tezy są  
dwie:

1. WSZYSTKO SPOD LADY,
2. OGÓLNA NIECHĘĆ DO KLIEN-  
TA I PETENTA.

Do niedawna narzekaliśmy na nie-  
domogi tej czy innej gałęzi handlu,  
teraz, choć mamy więcej pieniędzy,  
narzekamy niemal na wszystkie.  
Czy nie jest to sygnał do wnikliwe-  
go przeanalizowania sytuacji? Uta-  
rlo się powiedzenie: KOLEJKA PO CY-  
TRYNY, PO MIĘSO, ale spróbuj  
dzisiaj dostać bez kolejki wodę ko-  
łońską w Centralu, rzodkiewki w  
sklepie warzywniczym, ciasto w Hor-  
texie.

Każda zapobiegliwa gospodyni eg-  
zystuje dzięki znajomościom, które  
wspierane są dyskretnymi upom-  
kami lub wprost: szeleszczącym  
banknotem. Łąpowkarstwo rozpra-  
strzeniło się ostatnimi czasy nie-  
wiele. Coraz mniej jest takich, którzy  
nie biorą, coraz więcej takich, którzy  
dają. Pokutowała opinia, że kto jak  
kto, ale dziennikarze nigdy nie brałi  
(co jest prawdą) i nigdy nie dawal  
(co nie jest już prawdą nie jest).  
Znam co najmniej pięciu bezwzględ-  
nie uczciwych redaktorów, których  
sytuacja zmusza do wzięcia „pa-  
piwku”. A to za staranne wykończe-  
nie mieszkania, a to za szybkie za-  
łatwienie awarii wodociągowej, a to  
wreszcie za wybór sprawnego samo-  
chodu.

Zdobytu w sposób uczciwy tal-  
nie przesadza sprawy. Samochód  
jeszcze trzeba odebrać i tu zaczyna się  
toto-łotek: trafisz dobrze albo co-  
kraczysz się na środku Piotrkowskiej.  
Spec w punkcie odbioru wie, co ci  
daje. W jego pokerowo przymruzo-  
nym oczach kryje się cały przyszły  
los pojazdu, wie czy lakier będzie  
odpryskiwał czy nie, czy będą do-  
mykać się drzwi, pracowały wyie-  
rzałki, wchodził bieg wsteczny i  
funkcjonował silnik. Spec to wszyst-  
ko wie, bo inaczej nie byłby so-  
ceem, ale, do cholery, ta wiedza ko-  
sztuje! Pokaż więc mi takiego, który  
nie da. Jeśli samochód ma kosztować  
sto pięćdziesiąt tysięcy, warto dać  
jeszcze tysiąc, żeby się nie zepsuł.  
I każdy daje. I ci ludzie, do których  
nie przyczyna się przecież Wydział  
Finansowy, bo nie ma po temu żad-  
nych

podstaw, zarabiają tyle jednego  
dnia, ile ty zarabiasz w ciągu trzech  
miesięcy.

Są dni DZIECKA, MAMY, TATY,  
dni UŚMIECHU, dni BEZ PAPIERO-  
SA, a nikt jakos nie wpadł na po-  
mysł, żeby ogłosić DZIEŃ BEZ PA-  
PÓWKI. Najwyższy czas abymy za-  
czeli się bronić i wzajemnie wycho-  
wywać. Gdybyśmy tak wszyscy so-  
wiedzieli! NIE! urzędnikom, ekspo-  
dientom, rzemieślnikom, gdybyśmy  
zapani się na amen...

Słyszysz wasz śmiech.  
Mówię jak głupiec, bajki opowia-  
dam. A przecież...

W innych krajach, w owym  
gorszym świecie, gdzie są o-  
gromne afery łąpowcarskie, i w grę  
wchodzi miliony dolarów, nikomu  
nie przyszłoby do głowy dawać la-  
pówkę za kupno mięsa, piaszczą ko-  
samochołu. Tam nawet mało kto  
przychodzi do głowy, żeby dać napi-  
wek kelnerowi. Sprawa więc — poza  
trudnościami w zaopatrzeniu — po-  
lega chyba w równym stopniu na  
obyczajach i nawykach. Sam fakt,  
że kupujesz w tym sklepie a nie w  
innym, powinien być już wystarczają-  
cą łapówką. To ty robisz łapkę  
sprzedawcy, a nie odwrotnie. Urzęd-  
nik jest za biurkiem po to, aby ci  
służyć, a nie przaszkadzać czy też  
chronić pana dyrektora przed na-  
retnym petentem. Panienska w o-  
kienku, która niechętnie udziela ci  
jakieś informacji spelnia tylko swój  
obowiązek i bierze za to pieniądze.

Boże! U nas nawet zawodowi in-  
formatorzy traktują cie jak psa. Te  
wszystkie syki, monosylaby, ciężkie  
westchnienia...

Miałem ostatnio taką przygodę w  
sklepie z materiałami.

Ja: dzień dobry.  
Pieknotka za ladą wydaje z us-  
bie głuchy, groźny pomruk.

Ja: chciałbym kupić jakiś materiał  
w kratę.  
Ona: Nie ma kraty.

— A tam, na górnej półce?  
— Co na półce?  
— Krata.  
— To nie krata, to kwadracik.

— Chciałbym je mimo wszystko  
zobaczyć.  
Pieknotka, mamrocąc z cicha pod  
nosem, wchodzi na drabinę i ściąga  
belę materiału.

— Co to jest?  
— No, przecież pan widzi.  
— Elana?  
— Torlen.  
— A jakie on ma właściwości?  
— Niech pan zapyta tych, co pro-  
dukują.

Zamierzam pociągnąć jeszcze ten  
dialog w duchu wzajemnego zrozu-  
mienia, ale gdzieś w głębi, na zaple-  
sku, rozlega się głos:

— Hanka, popleszcz się, zupa styg-  
nie!

# BEZ POKORY

Wszelkie społeczne zjawiska, każdy  
proces, niezależnie od tego, czy ma  
on cechy dodatnie czy ujemne, moż-  
na ocenić z różnego punktu widze-  
nia. Można do tego podejść w spon-  
dogmatyczny, uznając, że nie odpo-  
wiada ideologicznym założeniom, nie  
zastanawiając się, w jakich kon-  
kretne warunki realizuje się, w. Mo-  
na też — i to jest najcięższe —  
traktować zjawiska społeczne w spon-  
s realistyczny, to znaczy próbując  
widzieć je i oceniać w kontekście  
przyczyn i uwarunkowań, w konfro-  
nacji z maksymalnie możliwymi do  
zrealizowania w danym czasie i w-  
 warunkach celami ideologicznymi.

Mamy w naszym życiu zjawiska  
pozytywne, z których możemy być  
dumni i mamy zjawiska negatywne,  
wobec których nie wolno nam być  
obojętnymi, które powinniśmy zwal-  
czyć. O takich zjawiskach pisze w  
bieżącym numerze „Odgłosów” An-  
drzej Makowiecki w artykule pt.  
„Pokornie ze stowa w garści”. Za-  
strzeżę się wprowadzić, że nie ma  
„ambicji rozwiązania tego problemu”,  
że chce go „tylko zasignałowac z  
nadzieją, że stanie się punktem wy-  
jścia do obszerniej dyskusji prasowej”.  
I sygnalizuje dwa problemy: 1.  
„Wszystko spod lady” i 2. „Ogólna  
niechęć do klienta i petenta”.

Są to sprawy denerwujące nas  
wszystkich. Ale stosunek Andrzeja  
Makowieckiego do tych sygnalizowa-  
nych ujemnych zjawisk przypomina  
mi stosunek pragmatyka. „Postawa  
pragmatyczna — pisza w numerze 3  
„Nowych Drog” Henryk Jankowski i  
Jan Malanowski — to wyłącznie re-  
gowanie na to, co przynosi chwila  
bieżąca, bez uwzględnienia teoretycz-  
nie uzasadnionych i ideologicznie a-  
probowanych kierunków i celów ro-  
woju społeczeństwa”.

Podzielim gniw Andrzeja Mako-  
wieckiego na te wszystkie, denerwu-

jące nas, ujemne zjawiska, ale nie  
można poprzestać tylko na tym słu-  
sznym gniewie. Sprawa jest bowiem  
dość skomplikowana i dlatego nie  
wystarczy tylko sygnalizowac nasze  
oburzenia na wszelkie ujemne  
społeczne zjawiska, trzeba jeszcze  
szukać źródeł ich powstania.

Andrzej Makowiecki potrafi znako-  
micie przedstawiać obraz pełne go-  
zy. Są one w stanie wstrząsnąć czy-  
telnikiem. Obudził jego gniew. Ale  
mam wątpliwości, czy zmusza go to  
do zastanowienia. A przecież o to  
winnu chodzić. Andrzej Makowiecki  
na przykład sugerujemy maluje sto-  
sunki klienta z ekspedientem, peten-  
ta z urzędnikiem, klienta z rzemieś-  
lnikiem. I ma rację. Tak jest w ży-  
ciu. Jednocześnie nie ma racji do  
końca, bo nie wszyscy są tacy, bo są  
uprzejme ekspedientki mili i spraw-  
nie działający urzędnicy, uczciwi rze-  
mieślnicy. Rysując jednostajnie za-  
barwiony obraz stosunków klient —  
sprzedawca, petent — urzędnik, An-  
drzej Makowiecki zmusza do oburze-  
nia, a powinien też budzić refleksję.  
Skoro sa uczciwi fachowcy, uprzej-  
me ekspedientki, porządni urzędnicy,  
to skąd biora się ci drudzy, ci źli, o-  
pryskliwi obrażeni na cały świat,  
orzekający na łapówkę?

W naszej polityce społecznej zmie-  
rzamy do wyrównywania warunków  
stanu życiowego dla wszystkich,  
członków społeczeństwa. Jest to cel,  
do którego dopiero zmierzamy. Przy-  
czyni się do tego między innymi re-  
alizowana reforma oświaty. Ale z tego  
jeszcze nie wynika, że nawet wtedy  
wszyscy będą mieli idealnie równe  
możliwości startu. Pozostaną prze-  
cież naturalne uwarunkowania, jak  
zdrowie czy zdolności. Realizując jed-  
nak te politykę społeczną, rozbu-  
dziliśmy wśród ludzi aspiracje i amb-  
cje, rozbudziłmy dążenie do rów-  
ności za wszelką cenę. Ujmując rzecz  
skrótkowo: mało kto chce być wózka-

rzem, a większość pragnie być kie-  
rownikami i dyrektorami.

Był czas, kiedy agitatorzy jeżdżili  
po wsi i zachęcali młodzież do wste-  
powania na wyższe uczelnie. Był  
czas, kiedy na specjalnych kursach  
przygotowawczych umożliwiono się  
młodym ludziom nadrobienie zaleg-  
łości i wstępowanie na wyższe ucze-  
lnie. Dziś z powodzeniem funkcjonuje  
system korepcyj, kursów przygo-  
towawczych i wielu innych „insty-  
tucji” mających ułatwić młodzieży  
start na studia, chociaż wiadomo, że  
chętnych jest więcej niż miejsc. Cho-  
ć wyższe uczelnie powstały w ta-  
kich miastach, jak Rzeszów, Lublin,  
Zielona Góra, Bydgoszcz, Toruń, a fi-  
le politechnik funkcjonują między  
innymi w Plocku czy Bielsku-Białej.  
I dla nikogo nie jest tajemnicą, że  
rodzice, których ambicja jest, aby ich  
dziecko koniecznie dostalo się na  
wyższe studia, będą szukali wszel-  
kich sposobów, aby cel taki osiągnąć.

W sytuacji, kiedy podaż nie nadą-  
ża za popytem, ludzie posiadający  
prawo decyzyj będą mieli możliwość  
jej nadużywania lub dysponowania  
nią w sposób nie całkowicie pra-  
widłowy. Mogą oni dzielić klientów  
czy petentów na grupy bardziej i  
mniej uprzywilejowane oraz w ogóle  
pobawione jakichkolwiek szans i-  
czestnictwa w podziale dóbr czy us-  
ług. Andrzej Makowiecki ma więc  
rację, kiedy pisze, że zdarza się, iż  
w sklepie jest drugi sklep, a w ur-  
zędzie drugi urząd dla tego bardziej  
uprzywilejowanych. Ale tego ujem-  
nego zjawiska nie warunkowałby  
tylko ludzka pazerność na pieniąd-  
z oraz usilowaniem tworzenia  
wzornego sposobu dzielenia dóbr,  
gdzie już nie łączy się pieniądz tylko  
możliwość „załatwienia tego i owe-  
go”.

Wiadomo, że podstawą wynagro-  
dzenia za pracę jest wkład pracy.  
Nie jest to system idealny i spraw-

nie funkcjonujący. „Jest rzeczą zna-  
ną — napisali w „Nowych Drogach”  
Henryk Jankowski i Jan Malanow-  
ski — że w pewnych gałęziach gos-  
podarki dochody są wyższe niż w in-  
nych przy porównywalnie takim sa-  
nym wkładzie pracy”. Jest rzeczą  
znaną, że wielu ludzi chciałoby mieć  
więcej, dając z siebie mniej. Są więc  
ludzie, którzy „usprawniają” na  
własną rękę nie najlepszy system wy-  
nagrodzeń, mają po temu określone  
możliwości. Ale też i są ludzie, któ-  
rzy niejako programowo demonstru-  
ją wobec klienta czy petenta swoją  
wyższość, wyniosłość, biorąc tym  
pozworną rekompensatę za swoją spo-  
łeczną pozycję, na którą „zostali skaza-  
ni”, a która w hierarchii zawodowej  
nie jest wysoko umieszczona. Księ-  
niczka za ladą marzy o roli gwiazdy  
filmowej, a tu klient każe jej szukać  
materiału w kratę. Nie każdy klient  
musi zastanawiać się, skąd to się  
bierze, ale publicysta, jeśli już się  
takim zjawiskiem interesuje, musi  
próbować szukać przyczyn.

Może wydawać się to paradoksem,  
że społecznie uzasadnione i ideolo-  
gicznie uwarunkowane dążenie, jakim  
jest tworzenie ludziom szerokich  
możliwości rozwijania ich uzdolnień  
i zawodowych aspiracji rodzi też zja-  
wiska ujemne. Ale nie jest to para-  
doks. Jest to tylko nasza niecierpli-  
wość, kiedy chcemy, aby rzeczywi-  
stość była bliższa idealom.

Nie możemy na przykład wszyst-  
kich ludzi traktować jako „napięto-  
wanych dobrem”, nie szukających w  
życiu ułatwień, nieuczulych na wszel-  
kie pokusy. Byłoby błędem, gdybyś-  
my nie widzieli funkcjonujących jes-  
zcze drobnonieszczęśliwych postaw,  
gdybyśmy nie dostrzegali charaktero-  
logicznych uwarunkowań ludzkiego  
postępowania. Nie jest to jednak w  
żadnym wypadku usprawiedliwienie  
dla tych, którzy łamią normy socja-  
listycznych stosunków między ludź-  
mi, którzy postępują wbrew moral-  
nym zasadom. Jest to po prostu pró-  
ba ukazania ujemnych zjawisk na  
szerszym tle, ukazania ich w kon-  
kretnych uwarunkowaniach.

Andrzej Makowiecki dziwi się, że  
nikt nie wpadł na pomysł ogłoszenia  
„Dnia bez łapówki”. Wzruwa do tego,  
abymy „zapani się na amen” i nie  
odwiedzicali się za drobne i grubsze  
przysługi i ułatwienia. Sam zresztą  
ocenia te postulaty jako bajki. I ma  
rację, chociaż nie do końca. W men-  
talności dających i biorących wytwor-  
zył się już stereotyp. Pacjent na

przykład uważa, że jeśli nie da le-  
karzowi stówy, to ten potrafi być  
gorzej. Powszechnie niemal stało się  
przekonanie, że hydraulik przyjdzie  
bez poczetunku, byle jak wykona  
swoją pracę. Kiedyś mówiło się, że  
dawaniem napiwku obraża się czło-  
wieka pracy. Dziś zaczęło utrwal-  
nie przekonanie, że obraża się czło-  
wieka pracy nie dając mu dodat-  
kowej gratyfikacji.

Co więc robić? Andrzej Makowie-  
cki ma niewątpliwie rację, kiedy usi-  
luje nas przekonac, że wypełnianie  
obowiązków przez pracowników han-  
dlu, usług, służby zdrowia, instytucji  
i urzędów powołanych do obsługi  
społeczeństwa nie wymaga dodatko-  
wych wynagrodzeń, ani specjalnych  
podziękowań. Sugeruje w ten spon-  
s, że część winy za wyrabianie tego  
tytu nieprawnowidlowych przekonań  
i nawyków spada na nas wszystkich.  
Na tych, którzy dołączają instytu-  
cjom do ich funduszu plac z wys-  
nych pieniędzy i na tych, którzy na  
taką operację godza się, chociaż zja-  
nia sobie sprawę z tego że jest ona  
nieuzasadniona, ale mile lechce ich  
dumę, zwiększa dochody i podnosi  
osobista wartość przede wszystkim  
we własnych oczach.

Od dawna uważam, że posiadamy  
szeroko rozbudowany system kontro-  
li, ale system ten nie funkcjonuje w  
należyty sposób, nie jest skuteczny.  
Trzeba ten system doskonalnić i tr-  
ba nadać właściwym rangę pojęcia od-  
powiedzialności. Nie jest bowiem dla  
nikogo tajemnicą, że w wielu przy-  
padkach pojęcie odpowiedzialności  
rozplywa się, rozkłada się na wiele  
osób i instytucji i w gruncie rzeczy  
przejawia się funkcjonować. W war-  
kach, kiedy zatracza się poczucie od-  
powiedzialności, kiedy nie działa sku-  
pnie system kontroli, ludzie dys-  
ponujący społecznym dobrem docho-  
dzą do wniosku, że mogą nim dys-  
ponować na swój własny sposób,  
który im daje korzyści podnosi ich  
społeczna rangę, czyni ich ważnymi,  
szanowanymi, poważanymi ponad  
wszelkie miary i zasługi. W tym  
przekonaniu przywrócenie należytej  
wartości pojęcia odpowiedzialności i  
właściwe funkcjonowanie systemu  
kontroli powinno ograniczyć warunki,  
w których mogłyby następować  
społecznie ujemne zjawiska. I dobrze,  
że zaczynamy myśleć o takich wła-  
snych sytuacjach. I być może dyskusja  
wywołana przez Andrzeja Makowie-  
ckiego przyczyni się do tego, że za-  
mianst oburzają się, zaczniemy zwal-  
czac to, co nas gnuwa.



Rano 16 kwietnia 1945 roku, po 30-minutowym potężnym artyleryjskim przygotowaniu, czołowe pododdziały 1 i 2 pułku piechoty z 1 dywizji im. T. Kościuszki sforsowały szeroko rozlaną i rwącą Odrę w rejonie Siekierek. W forsowaniu Odry brali udział żołnierze radziecy z 274 batalionu amfibi.

Następnie rozpoczęto natarcie w głąb obrony niemieckiej na kierunku wsi Bienenwerder oraz oskrzydlenie od południowego zachodu wyłotu zburzonego mostu kolejowego. Odpierając lokalne kontrataki wroga żołnierze stopniowo opanowali przyczółek szerokości 1,5 km.

Po godzinie 13.00 uruchomiono pierwszy prom pontonowy. Rozpoczęto przeprawę dział. Równolegle kontynuowano — na łodziach drewnianych i amfiblach — przeprawę 3 batalionu 1 pp i 2 batalionu 2 pp. Wyraźnie zwiększyło się tempo i siła natarcia w kierunku Neu Rudnitz. Operacja rozwijała się pomyślnie.

Przed 15.00 przeprowadzono na zachodni brzeg Odry, aby osobiście dopilnować „wypychania” do przodu dział pułkowych, skontrolować wysunięte punkty obserwacyjne i rozpoznać marszrutę okrężnego nocnego manewru artylerii dywizyjnej przez stały most pontonowy w rejonie Gozdowic. Będąc na punkcie obserwacyjnym przypadkowo wziąłem udział w odparciu ostatniego w tym dniu, silnego kontrataku niemieckiego batalionu piechoty wzmocnionego siedmioma wozami bojowymi. Pod naporem Niemców zaczęły się cofać do rzeki wysunięte pododdziały piechoty 1 pp. Konieczna była silna riposta ogniowa. Wywołałem przez radio zmasowany ogień zaporowy. Na przedpolu rozszalało się piekło ognia, dymu, kurzu i huk. Kontratak zalał się.

Przed 18.30 wróciłem do Siekierek po dokonaniu niebezpiecznej i ryzykownej jazdy okrężnej przez pole bitwy. Pomyślnie udało mi się rozpoznać dogodną marszrutę okrężnego manewru naszą artylerią przez Stare Lysogórki i Gozdowice. Będąc znów na dywizyjnym punkcie obserwacyjnym zorganizowałem artyleryjską osłonę dla próby poszerzenia przyczółka na północ. Po krótkiej i zwyciężonej walce opanowano most kolejowy i nasyp przy nim. Przyczółek poszerzono o dalsze 400 m i stworzono warunki do budowy kładki szturmowej po zburzonych i częściowo zatopionych przęsłach mostowych. Pod osłoną ognia naszej artylerii rozpoczęły przeprawę przez Odrę czołowe pododdziały 3 pp, które miały złuzować wykrwawiony 2 pp, a rano rozpocząć natarcie na Neu Rudnitz.

Późnym wieczorem otrzymaliśmy rozkaz dowódcy artylerii o zmianie podporządkowania wspierającej nas artylerii. Odebrano nam skuteczną się uderzenia. Na nie okazał się plan artyleryjskiej osłony natarcia w dniu następnym. Zawalił się nasz plan przeprowadzenia artylerii na przyczółek.

Przez całą noc trwała przeprawa na przyczółek pozostałych oddziałów 2 i 3 pułku piechoty oraz 1 batalionu 18 pp z 6 dywizji. Mieli oni nacierać na prawo od nas w kierunku na Bad Freienwalde. Dowożono też amunicję i zaopatrzenie na następny dzień. Ponieważ odebrano nam prawo korzystania z mostu pontonowego w Gozdowicach, nie przeprawiliśmy na zachodni brzeg Odry żadnego działu artylerii dywizyjnej, ani ciężkich moździerzy. Martwiło nas to, że 5 dział pancernych oraz



Foto: Archiwum

LEON DUBICKI

## 1945: KWIECIEŃ NAD ODRĄ POD SIEKIERKAMI

44 armaty, które miały wspierać piechotę w ataku ogniem na wprost, stały bezczynnie na wschodnim brzegu rzeki.

Przed świtem 17 kwietnia 1945 r. przeprowadziliśmy swój sztab na zachodni brzeg Odry i zorganizowałem w Bienenwerder dywizyjny punkt obserwacyjny. Całość dowództwa dywizji z gen. Wojciechem Bewziukiem pozostała na „starym” punkcie obserwacyjnym, znajdującym się na wysokim wzgórzu położonym nieopodal wschodnich krańców Siekierek. Miało to znaczny wpływ na dalszy przebieg walki na przyczółku.

O godz. 7.55 rozpoczęło się 10-minutowe słabe artyleryjskie przygotowanie. Pod jego osłoną żołnierze 1 i 3 pułków piechoty wyruszyli do ataku w kierunku Neu Rudnitz bez entuzjazmu i poczucia bezpieczeństwa. Szczególnie odczuwano brak dział pancernych, bardzo potrzebnych do torowania drogi piechocie podczas walki w głąb obrony nieprzyjaciela. Przekazałem na wschodni brzeg rozkaz wymarszu na przyczółek naszej artylerii pancernych i artylerii pancernych. Rozkazałem, aby na własne ryzyko „przebijali się” przez most pontonowy w Gozdowicach bez względu na konsekwencje dyscyplinarne.

Około godz. 10.00 oddziały piechoty, dokonując silny ogień nieprzyjaciela, zbliżyły się do Neu Rudnitz. Jasne było jednak, że bez należytego wsparcia ogniem artylerii piecho-

ta nie zdoła opanować silnie bronionego i umocnionego osiedla. Zdecydowaliśmy się więc na ryzykowne przeprowadzenie na przyczółek artylerii lekkiej i baterii moździerzy.

Przed godz. 12.00, pod osłoną intensywnego ognia artyleryjskiego, dwie niemieckie kompanie piechoty, wzmocnione 5 czołgami, ruszyły do kontrataku. Nasza piechota nie wytrzymała niemieckiego uderzenia i rozpoczęła chaotyczny odwrot. Wytworzyła się krytyczna sytuacja. Zatrzymaliśmy jednak Niemców huraganowym ogniem zaporowym posiadanych na przyczółku dział strzelających na wprost. Wykorzystując zamieszanie w szrankach nieprzyjaciela 2 batalion 1 pp ruszył do przodu i szybko dotarł do południowych domów Neu Rudnitz, gdzie został zatrzymany ogniem artylerii niemieckiej.

Po godz. 16.00 17 kwietnia 1945 roku artyleria dywizji zakończyła przeprawę. Uzyskaliśmy możliwość skutecznego artyleryjskiego przygotowania i wsparcia ataku na Alt i Neu Rudnitz.

O godz. 18.25, pod osłoną nawały ogniowej, piechota nasza ruszyła do ataku. Po godz. 19.00 oddziały nasze wdarły się do południowego skraju Neu Rudnitz. Niebawem 2 batalion 2 pp dotarł do północnej części osiedla. Rozpoczęły się walki uliczne. Szybko pokonano słabnący opór nieprzyjaciela. Oddziały 1 pp ruszyły w pościg za Niemcami wyco-

fującymi się do wsi Neu Küstrinchen, a 2 batalion 2 pp zajął pozycje obronne na północny zachód od Neu Rudnitz. Oddziały 3 pp opanowały południową część Alt Rudnitz i ruszyły na zachód w kierunku Paulsdorfu. Północną zaś część tej wioski zdobyły pododdziały 18 pp z 6 dywizji. Następnie pułk ten przeszedł do obrony wzdłuż szosy prowadzącej na północ od Odry.

W nocy we wszystkich oddziałach pierwszego rzutu rozpoczęto gorące kompleksowe przygotowania do następnego dnia natarcia. Na zapleczu w rejonie Siekierek trwała wzmocniona przeprawa przez Odrę pododdziałów dowodzenia i sztabu naszej dywizji oraz pododdziałów piechoty.

Przed północą przenieśliśmy stanowisko dowodzenia na wschodni skraj Neu Rudnitz, okropnie zatłoczonego przez wojsko.

Świtem 18 kwietnia 1945 roku, pod osłoną mgły, wykorzystując moment zaskoczenia, dwie kompanie 2 niemieckiego pułku lotniczego, użytego jako piechota, uderzyły w styk prawego skrzydła 1 pp z 2 batalionu 2 pp. Krytyczną sytuację uratowały dwie baterie artylerii, które zdążyły już zająć ugrupowanie bojowe na zachód od Neu Rudnitz. Niemiecki atak zalał się.

O godz. 17.30, po artyleryjskim przygotowaniu piechota ruszyła na zachód. Żołnierze wdarli się do wsi Neu Küstrinchen i Paulsdorf. Sciga-

jąc wycofującego się nieprzyjaciela, opanowali wieś Graustiller i przypuścili atak na niemiecki przyczółek mostowy utworzony na wschodnim brzegu Starej Odry, gdzie wkopano nawet kilka czołgów. Atak został zatrzymany morderczym ogniem nieprzyjaciela. Zalał się również dalsze próby opanowania mostu. Niemcy zaskoczyli nas tym, że wbrew zwyczajowi zorganizowali obronę stałą nie za, lecz przed przeskodą wodną.

Przez resztę 18 kwietnia 1945 roku trwały zacięte walki o wschodni wał przeciwpowodziowy, broniący dostępu do koryta Starej Odry. Powstała nawet sytuacja dogodna do sforsowania rzeki, ale saperzy nie dostarczili na czas sprzętu do przeprawy. Niemcy wypierali naszą piechotę z wału.

Rankiem 19 kwietnia 1945 roku, dzięki przytomności i odwadze artyleryzystów pomyślnie odparto niespodziewane uderzenie dwóch kompanii niemieckich. Po ustabilizowaniu się sytuacjiściągnąłem swój sztab do Neu Küstrinchen i rozpocząłem planową artyleryjską osłonę ataku na wał przeciwpowodziowy i forsowanie Starej Odry.

O godz. 12.45, po artyleryjskim przygotowaniu oddziały 1 i 3 pp ruszyły do szturmu. Pomimo odwagi i poświęcenia żołnierzy nie udało się zdobyć mostu na Starej Odrze, który Niemcy zdążyli wysadzić w powietrze. Nie powiodły się próby sforsowania rzeki na kilkunastu łodziach. Saperzy znów nie przygotowali sprzętu do przeprawy.

Sprzątał nam wówczas pomyślny rozwój sytuacji na lewym skrzydle pasa natarcia 1 Armii WP. Radziecka 47 armia opanowała miasto Wriezen. Wykorzystały to oddziały 3 dywizji piechoty WP. Dokonały one manewru oskrzydającego i przez most we Wrieden wyszły na zachodni brzeg Starej Odry. Nacierając na północ po zachodnim wale przeciwpowodziowym zlikwidowały obronę niemiecką. Na wysokości wsi Neu Gaull żołnierze 5 pułku piechoty przypuścili szturm. Niemcy nie wytrzymały uderzenia i pośpiesznie się wycofali nie zdążywszy wysadzić mostu.

Kiedy wiadomość o tym doszła do dowództwa naszej dywizji, gen. Wojciech Bewzik zwrócił się do gen. Stanisława Popławskiego z prośbą o zezwolenie na wyprowadzenie sił głównych dywizji drogą okrężną na zachodni brzeg Starej Odry, przez mosty w Neu Gaull i Wriezen. Po uzyskaniu zgody przystąpiliśmy do przeprowadzenia naszych oddziałów.

20 kwietnia 1945 roku o godz. 7.00 oddziały 2 pp uderzyły na osiedle Alt Rauff, zdobyły je i ruszyły w pościg za wycofującymi się Niemcami. 3 pp maszerował na północ przez Alt Rauff w kierunku Bad Freienwalde, które zajął i ruszył dalej w pościg za Niemcami.

Przed godz. 20.00 20 kwietnia 1945 roku dotarliśmy do Danenbergu. Oddziały pierwszego rzutu kontynuowały pościg, nie dając Niemcom możliwości zorganizowania obrony.

21 kwietnia 1945 roku i przez następne dni dywizja nasza ścigała wycofujące się oddziały hitlerowców. Wspólnie z jednostkami radzieckimi i 61 armii likwidowaliśmy niemieckie punkty i wzięły opór, zbliżając się do Berlina.

Leon Dubicki, generał brygady, uczestnik walk 1 Armii WP.

JAN BĄBIŃSKI

## JAK ŚCIAĆ ŁEB TEJ HYDRZE?

Te wschodnie mądrości nie od dziś zalecają otyłość. Bo też ludzie Wschodu darzą czcią i szacunkiem grubasów. Dowodzą tego wszystkie posągi Buddy. Ludzie Wschodu niczego tak się nie lekają jak ośmieszenia. Być może zupełnie pozapominali o tym wyżsi amerykańscy urzędnicy, bo przyglądali do nich ostatnio epitet zakutych biurokratów, jakich próżno by szukać gdziekolwiek indziej na tym świecie. Nie nie roślą, a zarabiają krocie. Każdą sprawę, nawet najdrobniejszą tak potrafią pogmatwać, w takie ją poubiarać prawnicze i administracyjne kruczki, że nikt już potem w niczym się nie może polapać. Tygodnik „Time” uskarża się, że w tych urzędniczych labiryntach nikt już się nie wyznaje, gdyż wyścielone są nieprawdopodobną ilością sprzecznych na ogół ze

sobą przepisów i zarządzeń, które ostatnio spisane zajęły 21 opasłych tomów.

Przez Amerykę przewala się wzrastaająca fala ogólnej nischęci do urzędniczego stanu.

Może część winy ponosi Kennedy? To on przecież zerwał ze wschodnimi mądrościami i wylansował nowy typ amerykańskiej elity. Ludzie na szczytach winni być smukli, wysportowani, winni mieć płaskie brzuchy i smagłe twarze o ostrym jastrzębim profilu. Rzeczywiście jowialnych i zawsze mile uśmiechniętych tłuściochów z federalnych urzędów dość skutecznie przeganiano. Skutek? Zupełnie nieoczekiwany. Ci smukli urzędnicy z żyłtkowanej sylwetki są na każdym łoku dziś ośmieszani. W prasie amerykańskiej aż się roi od docinków

pod ich adresem. Amerykańscy satyrycy dobrze sobie używają na amerykańskiej biurokracji, i dobrze też z tego żyją.

— Czego się denerwować? — słyszy się w urzędach federalnych. — Bywają gorsze rzeczy.

Możliwe, ale z punktu widzenia wschodnich mądrości, ludzie na dobre płatnych posadach w amerykańskich ośrodkach dyspozycyjnych stracili twarz. Przekształcili się w chłopców do bicia. Dobrze im tak, dowodzi prasa nie tylko Waszyngtonu. Zastępowali na to. Mają teraz za swoje. Przyszły czas, żeby się tym lobuzom solidnie dobrać do skóry. Nie tak by trzeba tych przekiętych biurokratów zmieszać nie z takim błotem.

Cóż to tak bardzo wzburza amerykańską opinię publiczną?

Nierobstwo. Tak jest, po drugiej stronie oceanu ogromnie się nie lubi nierobów, w ogóle różnych cwaniaków, co nie sieją a zbierają, co nie orzą a żyją jak pączki w masle. Bierzesz pensję, to pracuj draniu jedez, a jak nie to fora ze dwora. Dość już się wycisnęło soków z podatników, żeby jeszcze utrzymywać na karaku społeczeństwa milionową armię leniuchów i darmozjadów. Coś w tym jest co się mówi i co się pisze. Istotnie armia federalnych urzędników zwiększyła się w ostatnich latach o 15 procent. Liczy już bez mała 3 miliony. I wykazuje tendencję do nieustannego wzrostu.

Jest drabina i są szczeble. Tych szczebli jest 18, zaczyna się od dołu i ma się możliwość ustawicznego awansu. Tak zwany „elite corps” liczy 9 tysięcy wyższych urzędników federalnych, z których każdy zarabia od 42—50 tysięcy dolarów rocznie. Krocie? No, w każdym razie

grosz to na pewno jest ładny. Urzędników federalnych średniego szczebla jest 70 tysięcy. Każdy łapie od 26—28 tysięcy dolarów rocznie. W ogóle urzędnicy w federalnych biurach Ameryki, to ludzie pod każdym względem uprzywilejowani. Zarabiają więcej niż inni. Korzystają z uprawnień tego typu, że stali się w pewnych wypadkach nietykalni. Założymy, że stenotypistka z uposażeniem 9 tysięcy dolarów rocznie, w sposób demonstracyjny bimba sobie z roboty. Zwolnić ją? Tak, oczywiście, ale czy ma kto pojęcie jaka machina odwoławczo-komisyjna puszczone jest wówczas w ruch?

Tygodnik „Time” podaje, że proces zwolnienia trwa często półtora roku. Komisje, podkomisje, analizy ekspertów, ciała odwoławcze, znów komisje i tak bez końca. Zwolnienie kogośkolwiek z urzędu federalnego przypomina uciążliwe i powolne rozwiązywanie gordyjskiego węzła. Więc mało który wyższy urzędnik z wnioskiem o zwolnienie występuje. Jeszcze by czego. Tego mi tylko brakuje, żeby wyjść na durnia, zapłacić się w niekończące się komisyjne debaty i wielokrotne posiedzenia z udziałem czynników związkowych. Już lepiej udać głupiego. Lepiej przymknąć prawe oko. A potem lepiej przymknąć też lewe oko. O co chodzi? Aby do jutra. Aby wywinować się choćby o jeszcze jeden szczeblek na tej hierarchicznej drabinie.

Wszystko jest kwestią metody i organizacji — orzekli nowi ludzie z ekipy Cartera.

Przedstawił projekt ustawy, która ma uderzyć z biurokracji amerykańskiej biurokrację federalną. Carter zresztą już podczas kampanii wyborczej zapowiadał, że uderzy w tę waszyngtońską hydrę. Kilka razy już

się zamachnął, ale sprawy, według niego ważniejsze, wchodziły mu w parady. Teraz to już ma uderzyć na serio. Proponuje się, by znieść automatykę służbowego wansu. Na wyższy szczebel ma się dostać kto na to zasługuje. Wydajność pracy ma rozstrzygać i efektywność w robocie. Nie mogą powtórzyć się wypadki, o których wspomina raport komisji, która badała wydajność pracy w federalnych urzędach.

Oto jeden z federalnych statystyków, który zarabia 13 tysięcy dolarów rocznie, sam się przyznał, że nie robi tylko popija sobie kawę w godzinach pracy, słucha radia, a jak ma się już porządnie nudzi, to rozwiązuje łamigłówki.

Wiele mądrych i godnych uwagi usprawnień zaleca przygotowywaną ustawę.

Czy wejdziesz w życie?

To jest pytanie. Bo nim ustawa ukaże się na papierze i stanie się obowiązującą musi wderwać przejść przez trybun amerykańskiego Kongresu. Po cichu mówi się, że Kongres zbyt blisko jest powiązany z federalną machiną biurokratyczną, by miał jednym ciosem ściąć głowy hydrze i uderzyć w sytuację. Czy to się uda? Czy biurokracja nie jest zbyt niemierna? Już Jefferson pisał w 1824 roku:

„Myślę, że nasza machina zarządzania jest dużo większa niż to wynika z potrzeb, zbyt wielu mamy pasyżów, którzy żerują na trudnościach ludzi pracy.” A Roosevelt w 1930 roku, w przemówieniu radiowym skierowanym do narodu porównywał amerykańską biurokrację do szybko rozrastającej się gigantycznej drabiny, która przytłacza całe społeczeństwo. Czy te obramidle uda się rozebrać? Bardzo to wątpliwe.



## „Nowy Simonow“

Czytelnikom polskim dobrze znane są utwory znakomitego pisarza radzieckiego Konstantina Simonowa — „Taważskie bronie”, „Żywi i martwi”. Nikt nie rozdzieli „żołnierza”. Miesięcznik „Znamia” publikuje obecnie nową jego powieść, której tytuł jest początkiem wiersza Simonowa: „Już nigdy się nie zobaczymy...”. Pisarz, wierny tematyce wojennej, wprowadza, podobnie jak i w swych poprzednich utworach, intrygującą czytelników postać Wasilija Łopatina.

O swym podobieństwie duchowym z Łopatinem rozmawia Simonow z korespondentem „Literaturnej Gazety”:

— Z Łopatinem łączy mnie przede wszystkim wspólnota dróg życiowych. W czasie wojny też byłem korespondentem, znajdowałem się na wielu frontach, byłem świadkiem, a nieraz i uczestnikiem różnych wydarzeń, spotykałem się z wieloma ludźmi. Łopatin, którego nie wiodło do koleje z życiową prawdą, przerażam z miejsca na miejsce, pozwala mi przedstawiać wojnę w różnych jej przejawach, a poprzez obserwacje i sady Łopatina wyrażać własne myśli i doświadczenia tego okresu.

Jednocześnie Łopatin jest znacznie ode mnie starszy. Nie jest to przypadek, gdyż w ten sposób może on — jako dawny uczestnik II wojny światowej i świadek narodzin rewolucji — dokonywać pewnych porównań i przemysłów, do których ja w czasie minionej wojny nie byłem zdolny. Akcja mojej nowej powieści toczy się latem 1944 roku, gdy Armia Radziecka dochodziła do granic ówczesnych Prus Wschodnich. Jej tematem jest przyjaźń pisarza Łopatina i dziennikarza Gurskiego, praującego w gazecie frontowej. W utworze tym ukazałem także szereg interesujących, znanych mi wówczas osób, żołnierzy-bohaterów.

— Na przykładzie Łopatina widzę wyraźnie, jak dalece wykorzystuje pan w swych utworach wątki autobiograficzne...

— I tak i nie, ponieważ nie przeżyłem na wojnie nawet dziesiątej części tego, co było udziałem moich bohaterów. Natomiast niewątpliwie poglądy Łopatina na otaczający go przerażający teatr wojny, na przeszłość i przyszłość walczącego narodu wynikają z moich własnych przemyśleń i doświadczeń.

— Co sądzi pan o tych, którzy piszą o wojnie, choć sami w niej nie uczestniczyli?

— Mam zdecydowanie negatywny stosunek do tych pisarzy, którzy z racji swego wieku i stanu zdrowia z powodzeniem mogli przeżyć piekło frontu, ale tego nie uczynili, a mimo to pozwalają sobie opiewać bohaterские czyny żołnierzy. Gdy chodzi o młodych, którzy pragną pisać o wojnie i na swój sposób przekazać całą prawdę o niej poszukując stosownych materiałów w archiwach, odnoszę się do nich z szacunkiem. Zresztą, o tamtej wojnie pisać się będzie przez stulecia.

— W pańskiej nowej powieści generalnie mówi do Łopatina: „Od tamtych, którzy zginęli — niczego już żądać nie można. Co do was, życzę wam pomyślnego doświadczenia końca wojny i przemyslenia jej nie tylko za siebie lecz i za nich”. Jak pan rozumie te słowa?

— Jako zwykły obywatel. Przecież wojna pochłonęła mnóstwo ofiar z różnych środowisk, w tym również i wielu pisarzy, którzy gdyby przeżyli, mogliby stworzyć wiele wspaniałych dzieł. Dlatego na każdym z nas, którzy przetrwalimy, spoczywa podwójny obowiązek.

— Jest pan wspaniałym twórcą wielkiej prozatorskiej panoramy wojennej, a jednocześnie, jak to wynika z poszczególnych tytułów, zajmując się pan przede wszystkim losami i postaciami ludzkimi. Jaką rolę w ludziach ceni pan najwyżej?

— Uczciwość. Tę właśnie cechę chętnie widziałbym w ankietach personalnych. Pojęcie uczciwości rozumiem jako umiejętność dotrzymywania słowa, jak również wypełniania obowiązku niezależnie od wszelkich okoliczności.

## Czechow w Paryżu

Pierre Franek jest reżyserem spektaklu czechowskiego „Mewy” w paryskiej teatrze Atelier. Jak pisał „Le Monde” — ukorzywiony się przed geniuszem Czechowa, reżyser zamierzał dać przedstawienie „jak najprostsz”. Jednak — dodaje dziennik — nie jest to proste, szczególnie u Czechowa. Koncepcja Franeka pozabawiła więc aktorów możliwości pełnej gry, ograniczając ich rolę do wygłaszania dialogów. Reżyser tak „ustawił” spektakl, że aktorzy pojawiają się tylko dla wygłoszenia kwestii, a następnie schodzą ze sceny. Taki nadmierny szacunek do tekstu Czechowa spłycił przedstawienie, ograniczając je jakby do słuchowiska teatralnego, a spektakl pozbawiony jest życia.

## Mickiewicz na Litwie

Edycję trzynomowego zbioru poezji Adama Mickiewicza zakończyło litewskie wydawnictwo „Waga”. Włazono do niego „Pana Tadeusza”, „Dziady”, „Konrada Wallenroda”, „Grażynę”, „Ballady i romanse”, a także różne wiersze. Autorami przekładów są wybitni poeci litewscy, m. in. Vincas Mikolajitis-Putinas, Eduardas Mieželaitis, Justinas Marcinkevičius.

W ciągu ostatnich 20 lat spuścizna poetycka A. Mickiewicza wydawana była 15 razy w nakładzie czterech milionów egzemplarzy.

**London, jak zresztą wszystkie metropolie-giganty Zachodu, jest miastem ogromnych kontrastów i sprzeczności. Dla zagranicznych turystów jest wciąż stolicą byłego Imperium. Po Regent Street suną sznury Rolls-Royce'ów, a w dzielnicach biedoty, w okolicach starych doków, w ruderach i tzw. domach municypalnych mieszkają rodziny uchodźców z krajów basenu Morza Karaibskiego.**

Na Portabello Road, w nowoczesnych, świeżo odmalowanych domach, mieszkają młode zamożne małżeństwa, a o dwa kroki od nich kipi czarne getto — obiekt nieustannej obserwacji policji. Londyn przeżywa okres upadku. Choć stolica Wielkiej Brytanii wciąż puszy się swymi arystokratycznymi i zamożnymi dzielnicami, średnie warstwy społeczeństwa uciekają z nich do pozamiastecznej strefy zielonej. Krąg dzielnic biedoty coraz ciśnie oplatę serce tego miasta-giganta.

Od zakończenia II wojny światowej półtora miliona londyńczyków opuściło stolicę, a 100 tysięcy uczyniło to w ciągu ostatnich pięciu lat. Rdzenni mieszkańcy Londynu już od dawna woleli mieszkać poza miastem. Tych, którzy każdego dnia dojeżdżają do pracy w stolicy nazywa się tutaj „wahadłami” i ich liczba rośnie z każdym rokiem. Dziś, w Wielkim Londynie mieszka nieco ponad 7 milionów ludzi, podczas gdy w 1939 roku liczba ludności miasta wynosiła 8.600.000. Peryferie tego gigantycznego konglomeratu zamieszkuje 4,5 miliona ludzi, a w 14 okręgach tzw. wewnętrznej Londynu skupia się pozostała część jego mieszkańców. W niektórych rejonach miasta liczba mieszkańców zmalała o 20 proc. Tam też jest najwięcej bezrobotnych. Według najbardziej optymistycznych prognoz liczba mieszkańców miasta w 1981 roku będzie wynosiła ok. 6,5 miliona osób, a w 1990 zmniejszy się o pół miliona.

Zaraz po wojnie urbanisci próbowali zahamować proces koncentracji ludzi, fabryk i instytucji. Rozpoczęła się decentralizacja. Plan z 1947 roku, zgodnie z którym za zielonym pasem stolicy wybudowano 9 nowych miast, przewidywał powstrzymanie dalszego rozrostu Londynu. Polityka ta nie dała jednak oczekiwanych wyników. Londyn zawsze był przeludnioną stolicą, wielkim przemysłowym ośrodkiem. Słotocze na drogach parcelach ziemskich wielkie przedsiębiorstwa przeniosły się wkrótce w inne miejsca, podobnie jak ludzie, którzy swego czasu przesiadli się w okolice dolnego biegu Tamizy. Londyńczycy, jeśli ich tylko na to stać, przenoszą się bez żalu do rejonów podmiejskich. I nie tylko dla świeżego powietrza. Sądząc z listów napływających do telewizji i radia, ponad połowa mieszkańców stolicy marzy o zamieszaniu poza miastem. Ludzie skarżą się na hałas, brudy na ulicach, intensywny ruch uliczny i spaliny, na trudność z wychowaniem dzieci w warunkach miejskich, na osamotnienie. Co piąty mieszkaniec Londynu jest niezadowolony ze swoich warunków życiowych. Stosunki międzyludzkie są gorsze niż

były kiedykolwiek. Osiem procent mieszkańców uskarża się na wzrost przestępczości, mnożące się wypadki rabunków, 11 proc. twierdzi, że mieszka w ruderach, i wreszcie połowę mieszkańców miasta niepokoją problemy rasowe. W tym obrazie nastrojów londyńczyków przeważają ponure, ciemne barwy. Sama rzeczywistość miejska jest bardzo kontrastowa i w wielu dzielnicach stolicy wzbudza wyraźny niepokój.

Korespondent paryskiego „Le Monde” zastanawia się, czy Londyn nie wszedł już na drogę tych wielu miast amerykańskich, które dopuściły do atrofii swoich ośrodków, godząc się z tym, iż ludzie zamożni i kwitujące gałęzie przemysłu uciekają z ich mu-

znaje, że „zawsze były tu parszywe miejsca”. Rzekomo przyczyną tego stanu jest mnóstwo kolorowych robotników, którzy stanowią niewiele ponad 3 proc. ludności Wielkiej Brytanii. Są jednak poszczególne dzielnice Londynu, w których przeważa ludność kolorowa, co wywołuje psychologiczny niepokój, wzbudza uczucie groźącego niebezpieczeństwa. Według danych Scotland Yardu 12 proc. aresztowanych na ulicach za naruszanie porządku publicznego stanowią kolorowi. W pewnych dzielnicach ludzi ogarnia prawdziwy strach, kiedy muszą wieczorem wyjść z domu. Uczucie niebezpieczeństwa dręczy mieszkańców miasta, skłania do ucieczki ze stolicy.

## LONDYN

# OSTRE KONTRASTY W CENTRUM MIASTA

Wraz ze zmniejszeniem się liczby mieszkańców zmniejsza się również liczba miejsc pracy, co podrywa ekonomikę miasta. Zdaniem władz miejskich, nie ma najmniejszej nadziei na zahamowanie tego procesu. Stąd rozdzieli się realne niebezpieczeństwo spadku ekonomicznego do poziomu, na którym trudno będzie zapewnić sprawne funkcjonowanie miasta. Londyn jest skupiskiem instytucji finansowych. Jednakże, podczas gdy ich ilość stale rośnie, miejsc pracy w nich wciąż ubywa; pracowników wypierają maszyny elektroniczne. Ponad połowa wielkich kompanii ulokowanych w City już niebawem przenosi się w inne miejsca. Przyczyną tego procesu jest brak parceli ziemskich w mieście, a stąd i wysoki podatek od dzierżawy pomieszczeń biurowych, sięgający 68 proc., od czynszu; w 1970 roku wynosił on za ledwie 11 proc. W przemyśle ilość wolnych miejsc pracy już od 10 lat zmniejsza się o 2,7 proc. rocznie. W poszczególnych gałęziach gospodarki, włącznie ze sferą usług, ilość miejsc pracy zmniejsza się o 0,7 proc. rocznie. W centralnych dzielnicach Londynu proces ten przebiega dwukrotnie szybciej.

Teraz trzeba mieć pieniądze. Irańskiej Kompanii Naftowej, żeby móc ulokować biura w pobliżu Opactwa Westminsterskiego, lub dysponować kapitałami wielkiego banku, żeby adaptować zabytkowe domy na biura w City.

Jednym z najbardziej ostrych problemów zarówno w Londynie jak i w całym kraju są sprawy mieszkań dla ludzi pracy. Według oficjalnych danych, w okresie od 1971 do 1975 roku liczba bezdomnych w Anglii i Walii podwoiła się. Wiele tysięcy ludzi jest skazanych na wegetację w ponurych dzielnicach miejskich nor i getcie dla ludności kolorowej. Najbardziej upośledzeni spośród nich, powodowani rozpaczą, mimo represji władz, zajmują domy przeznaczone do rozbiórki. Tymczasem ultranowoczesne komplety mieszkalne w East Endzie świecą pustkami, bowiem mieszkania kosztują tu bardzo drogo i stać na nie tylko najbardziej zamożnych mieszkańców stolicy.

JERZY CZECH

(C.)

## Kto idzie pod prąd? Czy wznowienie rozmów? Wizyta północnego sąsiada.

Decyzja prezydenta Cartera o niewypowiedzianym teraz ostatecznym zdaniu w sprawie produkcji broni neutronowej znalazła wsparcie niektórych rządów zachodnioeuropejskich. Temat ten stał się dominującym np. w deklaracji rządowej kanclerza Schmidta, czy też oświadczeniu włoskiego ministra spraw zagranicznych — Torleaniego. Inaczej reagują koła przeciwnie odprężeniu, które już chciałyby usłyszeć, tak — będziemy tę broni wytworzyć. CDU/CSU wzywa rząd, aby publicznie zadeklarował swą gotowość do rozlokowania broni na obszarze europejskich państw NATO, w tym oczywiście na terytorium RFN. Raz jeszcze opozycja zachodniemiecka idzie więc pod prąd żądaniom społeczeństw, które w produkcji i rozmieszczeniu broni neutronowej dopatrują się nowego impulsu do wzrostu zbrojeń, a w konsekwencji nowego zagrożenia dla pokoju.

Tymczasem Carter — w czasie kolejnej konferencji prasowej — dał wyraz swemu optymizmowi, co do perspektyw osiągnięcia porozumienia na temat ograniczenia strategicznych zbrojeń nuklearnych. „Czynimy dobre i stałe postępy w rozmowach SALT” — powiedział, dodając, że perspektywy

ofensywnych oraz obustronnej, radziecko-amerykańskiej rezygnacji z produkcji broni neutronowej.

Jednym z tematów tygodnia jest też nieprzesadzona wciąż sprawa Cypru. Obecny spokój na wyspie jest tylko pozorny i nie może nikogo mylić.

Piszemy o Cyprze właśnie teraz, gdyż Kurtowi Waldheimowi przedłożona została przez Turków cypryjskich propozycja rozwiązania wewnętrznych problemów wyspy. Jej treści jeszcze nie ujawniono, nie wiemy zatem, czy może stanowić podstawę do wznowienia rozmów między dwoma grupami etnicznymi. Rozmowy załamały się w kwietniu ub. roku, kiedy strona turecka odrzuciła propozycję cypryjskich Greków uregulowania problemów terytorialnych. W tym miejscu trzeba przypomnieć Czytelnikom, że to właśnie kwestie są z rzędu najtrudniejszych. Grecy cypryjscy uważają bowiem, że społeczność pochodzenia tureckiego powinna zajmować obszar proporcjonalny do jej reprezentacji demograficznej, a więc 20 proc. Tymczasem pod kontrolą Turków — od czasu inwazji na wyspę — znajduje się 40 proc. obszaru i podobno nie są oni skłonni do dużych ustępstw (nieoficjalnie mówiono, iż chcieliby oni zachować 33 proc. terytorium).

Inną rozbieżną sprawą jest rozwiązanie struktury państwa. Ludność pochodzenia greckiego postuluje system federalny — z silnym rządem centralnym, podczas gdy ta propozycja — dotychczas bez wyrażenia sprzeciwienia innego modelu — podważana jest pod hasłami

## USA

# „ANALIZY“ Z KOMPUTERA...

Jak świadczy o tym fakty, przytłaczająca większość Amerykanów żąda polepszenia stosunków radziecko-amerykańskich. Jednakże sily skrajnej reakcji w USA, uciekające się do fałszowania i przekraczania faktów, starają się zastraszyć amerykańskie społeczeństwo „sowieckim zagrożeniem” i rodmuchać antyradziecką histerię. Oto co pisze na ten temat Curtis Hans, członek rady Amerykańskiego Komitetu do Spraw Porozumienia między Wschodem i Zachodem, w interesującym artykule zamieszczonym w nowojorskim piśmie „Newsday”.

„W naszym stuleciu techniki elektronicznej należy z dużą ostrożnością traktować słowo drukowane. Przecież jeśli wprowadzić do elektronicznej maszyny przetwarzania danych mylną lub wprowadzającą w błąd informację, to i wyniki które ona poda także będą mylne lub wprowadzające w błąd. Właśnie dlatego ostatnią „analizę” stosunku amerykańskiego społeczeństwa do bezpieczeństwa narodowego, do Związku Radzieckiego i do ograniczenia zbrojeń strategicznych, rozpowszechnioną przez Amerykańską Radę Bezpieczeństwa i opublikowaną w czasopiśmie „Aviation Week”, tak samo zresztą jak i analogiczną „analizę” którą obecnie przeprowadza komitet partii republikańskiej w związku z organizowaniem kampanii wyborczej do senatu, można z całym spokojem uznać za makulaturę. Rzecz w tym, iż metody badań stosowane w obu „analizach” są bez wątpienia antynaukowe a tendencje badań z góry założone. A zatem i ich wyniki muszą być mylne. „Aviation Week” poinformował, iż Amerykańska Rada Bezpieczeństwa, która jest „prywatną niehandlową organizacją”, rozpowszechniła wyniki „badań” 135.341 Amerykanów”. Pismo nie poinformowało jednak, że Rada jest organizacją której głównym celem działalności jest walka przeciwko odprężeniu, walka o zwiększenie wydatków na obronę, że popiera ona produkcję takich rodzajów broni, jak bombyce B-1, rakiet skrzydlatych i bomby neutronowej i że z nieufnością odnosi się do wszelkich rozmów między Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim, które dotyczą ograniczenia zbrojeń strategicznych. „Aviation Week” nie poinformował amerykańskiej opinii publicznej także i o tym, że te tzw. „badania” były faktycznie jednym z elementów apelu wzywającego do zbiórki środków pieniężnych, z którym Amerykańska Rada Bezpieczeństwa zwróciła się do swoich przysiężnych stronników oraz do tych osób, które widziały i zaakceptowały propagandowy film Rady pt. „Cena pokoju i wolności”...

Nie chodzi tu nawet o nieścisłości w tych tzw. badaniach i nawet nie o złą wole organizacji, które je przeprowadzają. Największy problem polega na tym, dlaczego w ogóle przeprowadza się podobne „analizy”, dlaczego ludzie którzy się sprzeciwiają odprężeniu i popierają zwiększenie wydatków na zbrojenia uważają za niezbędne wypaczenie faktów i przedstawianie ich opinii publicznej w niewłaściwym świetle. Odpowiedź jest stosunkowo prosta. Prawdziwa opinia społeczeństwa amerykańskiego nie jest zbieżna z ich punktem widzenia. Wyniki wszystkich autorytatywnych badań przeprowadzonych czy to jednocześnie ze wspomnianymi „badaniami” Rady, czy też obecnie potwierdzają fakt, że chociaż nieufność społeczeństwa amerykańskiego wobec Związku Radzieckiego utrzymuje się nadal, to jednak przytłaczająca większość Amerykanów opowiada się za zawarciem porozumienia o ograniczeniu zbrojeń strategicznych, za rozszerzeniem handlu i innych elementów polityki, oddziałujących na pogłębienie odprężenia”.

W. ŚLAWSKI



## POWRÓT JANTY

Czytelnikowi wykształconemu w Polsce Ludowej nazwisko Aleksandra Janty-Polczyńskiego niewiele do niedawna mówiło. Tuż po wojnie (w 1946 roku) ukazała się u nas tylko jedna jego książka „Kłamałem, aby żyć” (w której opisuje jak skutecznie przez jakiś czas udawał Francuza, aby przetrwać niewolę niemiecką). Przez późniejszy okres pozostawał raczej zapomniany, choć w latach poprzedzających jego śmierć (w roku 1974) był w kraju stosunkowo często. Słusznie czyni tedy wydawca tomu szkiców Janty-Polczyńskiego, przybliżając piórem Janusza Odrowęża-Pieniążka sylwetkę niezwykłego rodaka.

Z nazwiskiem Aleksandra Janty-Polczyńskiego sam zetknąłem się stosunkowo późno i zupełnie przypadkowo. Jako student polonistyki wertowałem roczniki „Wiadomości Literackich”, poszukując materiałów do pracy seminaryjnej. I nagle zauważyłem sensacyjny reportaż z wyspy nudystów. Oczywiście przeczytałem, choć — prawdę mówiąc — nie musiałem, bo było tam też parę zrobionych przez autora fotografii. Od tej pory mam je zawsze przed oczyma, gdy tylko pojawia się nazwisko Janty.

Ale, mówiąc już poważnie, posiada on niebagatelny dorobek książkowy. A przy tym posiadał niezwykle barwne życie. Znany był przed wojną przede wszystkim jako „szalejący reporter”. Jednocześnie uprawiał poezję i prozę, przekładał Amerykanów i Japończyków, był korespondentem wojennym, bibliofilem, wreszcie i antykwariuszem. I to już wtedy, owoce autor wstępu, był antykwariuszem na dużą skalę. A po wojnie, gdy osiadł w Nowym Jorku, skala owa wzrosła niepomniernie. Koncentrował się głównie na polonikach zbierając książki i rękopisy, rysunki i mapy, nuty i wszelkie materiały (choć nie tylko) ślady polskości rozproszone w całym świecie. Zaś jego pobyt w kraju przyczynił się do wzbogacenia naszych zbiorów publicznych.

W swoim „sklepiku ze starzyną” zebrał wspaniałą kolekcję. Gdy w roku 1966 z okazji zjazdu naukowców polskich na uniwersytecie Columbia zademonstrował część swych zbiorów, wyraził przy okazji też głębokie zdziwienie: „ile się jeszcze po całym świecie tula polskich dokumentów z dawnych wieków, ile jest poza Polską rzadkich druków i ksiąg”.

André Malraux wypowiedział kiedyś paradoksalnie brzmiące zdanie, że kultury się nie dziedziczy, lecz zdobywa się ją z pokolenia na pokolenie. Świadczenie to patronowało jakby wielu poczynaniom Aleksandra Janty-Polczyńskiego. Chciał, by jeszcze w jego pokoleniu udało się zebrać możliwie najwięcej z rozproszonego polskiego mienia kulturalnego, by mienie owo przypominało nie tyle „dawnych Polaków dumie i szlachetności”, co ich mądrości i pozycje w Europie. Tym bardziej że na przestrzeni dziejów ginęły nam niejednokrotnie skarby kultury, ulegały spustoszeniu biblioteki i archiwa. Pomny kolejnych lekcji historii proponuje autor „Nie własnego nikomu” uczynienie z polskich archiwami zabiegów podobnego do tego, jaki zastosowano wobec zbiorów watykańskich, mianowicie stworzenie duplikatu poprzez mikrofilmowanie. „Idealem byłaby taka sytuacja: unikat archiwalny znajdujący się poza Polską w odbitkach mikrofilmowych dla Biblioteki Narodowej w Warszawie, duplikaty polskich archiwów natomiast dla kilku wielkich bibliotek poza Polską — Leningrad, Chicago, Londyn”. Oby projekt ten mógł dobiec do realizacji!

Wybrane przez Michała Sprusińskiego szkice i wspomnienia opowiadają przeważnie o sposobach, jakimi udało się uzyskać większość eksponatów. Na specjalną uwagę zasługują te szkice, w których Janta przedstawia mało znane, bądź zupełnie nieznanne epizody z pobytu pisarzy polskich w Stanach Zjednoczonych (np. Cypriana Kamila Norwida, Henryka Sienkiewicza, Jana Lechonia), kreśli receptę Josepha Conrada w literaturze amerykańskiej czy omawia dzieło niedoszłego amerykańskiego wydania „Nocy i dni” Marii Dąbrowskiej, co szczególnie zainteresować może odbiorców aktualnie emitowanego serialu telewizyjnego.

W notatkach Aleksandra Janty-Polczyńskiego przepłatają się sprawy powszechnie znane i bardzo bliskie polskiemu społeczeństwu (np. odzyskanie skarbow wawelskich) ze zjawiskami mniej znanymi, niekiedy wręcz ciekawostkami, by podać przykład akcji „Wirginia” — nieudanej próby stworzenia polskiej kolonii w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

„Nie własnego nikomu” miało do tej pory świetne recenzje. To dobrze, bowiem książkę tę należy traktować — zgodnie z intencją wydawcy — jako zapowiedź następnego wydania Janty w kraju. Sądzę, że kolejne jego książki pokażą nam już nie tylko antykwariusza i znawcę kultury polskiej.

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

A. Janty, „Nie własnego nikomu”, Czytelnik, Warszawa 1977, str. 394, nakład 10.320 egz., cena 35 zł.

## SYZYFOWA PIEŚŃ

Czytając wiersze zgromadzone w „Pieśni Syzyfa”, drugim tomiku poetyckim Andrzeja Wiktora Mikołajewskiego, trudno zachować spokój. Oto przed naszymi oczyma rozgrywa się dramatyczny spektakl konfrontacji ludzkiej myśli z podstawową zasadą ludzkiego bytu — istnieniem w czasie. Wszystkie utwory zbiorku są efektem dręczącej autora obsesji trwania określonego smiercia, są miarą wysiłku udźwignięcia świadomości, że wszystko co czynione, czynione jest po śmierć.

Życie po śmierci, oddech po śmierci, cel, sens, wola, wolność — w drodze po śmierć.

Bez wieczności, zawsze i tylko tutaj żywy w śmierci... konsekwencja takiej dramatycznej konstatacji, określającej najistotniej i w pełni charakter ludzkiej egzystencji, musi być pojawienie się problemu sensu istnienia. W „Pieśni Syzyfa” jest to podstawowy wątek refleksji poety.

Nie mogę pojąć celu istnienia które nas więzi zawsze tak samo samotny jak poznać imię wiary dla której jesteśmy tak wyrwani w istnienie. To pytanie postawione w pierwszych „Dialogach myśli” przewija się nie tylko przez dwa następne (w postaci niemal identycznej w trzecim) ale i przez szereg innych wierszy.

Poszukiwanie zewnętrznej motywacji takiego a nie innego kształtu ludzkiej egzystencji nie wieniec powodzenie: sankcja wiary okazuje się być efektem manipulacji w kierunku urojen i zbudzeń; skutkiem uświadomienia sobie „niezawisłości istnienia” między abstrakcją Boga a tyranią Wielkiej Rzeczywistości jest przekonanie, że człowiek jest „wszystkim i miarą wszystkiego, że człowiek to po prostu — żywa śmierć w działaniu” (Żywa śmierć).

Podjęcie próby dotarcia do sensu istnienia warunkowane było określonymi właściwościami tego, który ten wyśitek, podjął; przedmiot medytacji wymagał konkretnych zabiegów wstępnych — w tym przypadku nastąpiła zbieżność. Konieczność niepokoją zbiegła się z niepokojem — „ja, który nie mogłem nigdy we własnym cieniu / odpocząć”. Niezbędność samotności i izolacji skorzystała z podmiotowych predykcji „życie „w imię własne” umożliwiło oglądanie „świata wypranego z urojenia”.

Dla mnie osobliście najciekawsze w tomiku są wiersze będące świadectwem odrzucenia tego wszystkiego, co chwilowe, co zabezpiecza, lecz i tumania, wypełnia egzystencję, lecz jednocześnie zagłusza elementarne pytania. W owej dramatycznej próbie bycia w stanie „nagości” („Pieśń Syzyfa”, „Dialogi myśli [III]”, „kw” według mnie szansa powiedzenia czegoś nowego i własnego. Stąd w tym dramatycznym cyklu poetyckiej refleksji rozwijającej się po osi: uświadomienie — pytanie — poznanie i przygotowanie siebie do konfrontacji — próba przeniknięcia — wybór postawy, najatrakcyjniejsze z racji dramatyzmu i poetyckiego subiektywizmu, były dla mnie wiersze wchodzące w obręb członu środkowego: „W drodze”, „Pieśń Syzyfa”, „W imię własne”, „Ziemia”; co nie znaczy, iż przypisuję im rangę szczególnego arcyzmu i rewelacyjność spostrzeżeń.

Tak to bywa że im znaczenie wymiaru spraw i problemów podejmowanych przez poszczególnych autorów, tym rzadziej znajduje on odpowiedni wyraz w literackim wyrazie. Wiersze zawarte w „Pieśni Syzyfa” głębię nie są w swym kształcie do filozoficznego dyskursu, nader rzadko oddziałują nie tylko logiką wywodu, ale i poetyką ekspresji. Jedną szczytowością i autentyzmem, konsekwencją wysiłku oswojenia obsesji, ale nie dostarczają adekwatnej czytelniczej satysfakcji.

Z lektury tomiku pozostaje wrażenie przede wszystkim dramatyzmu sytuacji poety świadomego podstawowych warunków swej egzystencji. W dniu powszednim, zagubionym pomiędzy nocą i nocą, w ciemności pomiędzy ciemnościami, w tym świetle trwania, któremu wierność wpisana jest w imiona nasze, lecz która nie jest nam wiernością.

Próba dotarcia do sensu istnienia, zalecenia dla sankcji koniezy się (jak okazało się wcześniej) fiaskiem. Życie w obliczu śmierci umożliwiało mi poecie afirmację istnienia („Wybór”); tragedii śmierci rozbroiła winna jej racjonalizacja („Jestem ruchem zaplanowanym przez światło...”) Konkluzje i efekty poetyckich przemyśleń, nie doznają nie nowego do puli odpowiedzi na dręczące człowieka „od zawsze” pytanie o sens życia i śmierci; bezsilnością też wieje z pozornie optymistycznego finału „Pieśni Syzyfa”.

Każde z nas jak wszyscy mamy własną ciężką bryłę świata. Ale to bez wątpienia szczęście, tak być, tylko w tej jednej chwili, zawsze otwartej na bezwzględną wieczność.

Dруга część tomiku, mająca zawierać według odredakcyjnej informacji — w której notabene insynuuje się Mikołajewskiemu wypełnienie wierszowanej interdyscyplinarnej antropologii — prozę poetycka, a będąca, mówiąc ścisłe, zbiorem alegorycznych przypowieści, posługuje dręczącą autora obsesję izolującej człowieka świadomości śmierci. Większość utworów razi mnie jawnym i dość grubym konceptyzmem (przedawcy podmiotu to męczarz, sprzedawca trumien, najlepszy przyjaciel). Nie widzę tu — w przeciwieństwie do wierszy — szansy dla autora na przyszłość, chyba że pisalby utwory w rodzaju niemożew w pomysł, lecz sugestywny w klimacie — „Przyśrości”.

WIESŁAW PUSZ

Andrzej Wiktor Mikołajewski, Pieśń Syzyfa, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1977, s. 68, cena 10, Biblioteka Poetycka.

Najpierw obowiązek, potem przyjemność, zacinamy tedy od dopełnienia kronikarskich powinności i odnotowania całej serii wiosennych premier, które na scenach dramatycznych szły zresztą parami. Serię otworzył Teatr Ziemi Łódzkiej omawianymi już na tych łamach przedstawieniami „Kłątwy” Wyspiańskiego i „Ogrodnika z Tuluzi” Kaisera, potem na obu salach z premierami wystąpił Teatr Nowy, zaś w bieżącym tygodniu dwie „prasówki” przedstawi nam Teatr im. Jaracza.

W Małej Sali Teatru Nowego oglądaliśmy „Sędziów” Wyspiańskiego w Dużej — polską prapremierę „Zwio-

centent w ogóle nie wie, jaką ma mierzyć miarką, co pisać i czy pisać w ogóle...”

Lidia Zamkow zlamala tradycję i spektakl „A...B...C...D...” zmontowała z jednej adaptacji i trzech sztuk: „Anny Kareniny” Tolstoja, „Ballady” Słowackiego, „Caliguli” Camusa oraz „Dreigrosen Oper” („Opera za trzy grosze”) Brechta, łącząc wybrane sceny czysto pretekstowym zabiegiem — wszystkie odbywają się przy biesiadnym stole, przemontowanym zresztą na oczach widowni przez samych wykonawców.

W konsekwencji młodzi aktorzy grają coraz to inne role, wytworna

aktorskie mogło to być ogromnie pożyteczne.

Za to fragmenty „Caliguli”, ostre, brutalne, przesunięte w stronę teatru okrucieństwa — zdają mi się chwilami wręcz znakomite i z największym zainteresowaniem obejrzałym kiedyś całość spektaklu, możliw- w również z Mariuszem Wojciechowskim w roli tytułowej.

Prawdziwy egzamin dojrzałości zdali jednak młodzi aktorzy dopiero w scenie ślubu Macky Majchra z Polly, wyjętej z „Opery za trzy grosze”. Grali śmiało, odważnie, ze szczerym poczuciem humoru i stylu widowiska jednocześnie, zarazem już

## ZAPISKI KRONIKARZA

## MŁODZI PRZY BIESIADNYM STOLE

ki” Durrenmatta, na której było oczywiście tłoczno i rojnie, młodzież zaś — co staje się z wolna piękną tradycją — siedziała nawet na stopniach sceny... O „Zwonce” — co się temu przedstawieniu chyba należy — chcielibyśmy w najbliższym czasie napisać szerzej niż zwykle, dziś powiemy to jedynie, że spektakl jest ogromnie interesujący, choć i troszkę sporny, co odnieść można zarówno do samego tekstu, jak i do inscenizacji Kazimierza Dejmka.

W Teatrze im. Jaracza na Scenie 7.15 powraca po latach montaż piosenek z międzywojennego dwudziestolecia pod wdzianym tytułem „Taka noc nie powtórzy się więcej”, zaś na Dużą Scenę wchodzi — a właściwie już weszła — sztuka Iredyńskiego „Zegna, Judaszu”.

Gdzieś „po drodze” oglądaliśmy jeszcze musical Bogusława Klimczuka „Och, lalaczko!” w Teatrze Muzycznym oraz pracę dyplomową studentów Wydziału Aktorskiego łódzkiej PWSFTiVIT, o której słów parę chciałbym dzisiaj napisać.

Od lat wielu tzw. warsztat Wydziału Aktorskiego wygląda tak po prostu, iż przygotowuje się do publicznej prezentacji kilka — trzy co najwyżej — sztuk z rodzimego i światowego repertuaru, co niesie jednak za sobą te podstawowe niedogodności, że obok ról pierwowzornych trzeba obsadzić i epizodyczne, których z panów musi nagle zagrać starca, a któraś z pań — matkę, czy nawet babkę swojej rówieśniczki... Z punktu widzenia dydaktycznego jest to — zapewne — celowe i słuszne, siedząc na widowni nieuchronnie odczuwamy jednak całą sztuczność podobnego zabiegu, a re-

księżna Betty Twierska przeistacza się w Matkę z „Ballady”, a despotyczny Caligula — w jednego z członków bandy Macky Majchra, co niemal każdemu pozwala na pokazanie całej skali możliwości, podkreślając zarazem szkolny, właśnie warsztatowy charakter spektaklu. Nie wszystko musi się tu udać — i nie wszystko zresztą się udało — ale wiemy przynajmniej, co oglądamy i gdzie jesteśmy. Ascetyczne, stale jednakowe kostiumy (uzupełniane jedynie czarną opaską na czole Ballady, czy też lańcuchami na piersiach Caliguli), łączenie funkcji brygady technicznej z zadaniami aktorskimi, konieczność przechodzenia od roli do roli i budowania złożonych psychologicznie postaci na przestrzeni jednej tylko sceny — czyni przedstawienie ogromnie atrakcyjnym dla szerzej zainteresowanej teatrem publiczności, samych wykonawców stawiając zarazem przed prawdziwą próbą sił.

W „Annie Kareninie” siły te jeszcze zawiodą. Bez stylowych kostiumów, które po trosze narzucają sposób poruszania się i gesty, grupa kręcącej się po scenie młodzieży nie bardzo przypominała rosyjskich arystokratów, choć trzeba przyznać, że Renata Frieman (Betty Twierska) bardzo ładnie prowadzi narrację, a niepokojący, niski głos Bogusławy Pawelec (Anna) chciałbym jeszcze móc ze sceny usłyszeć.

Na „udźwiękowaną” wersję „Ballady” z święgotaniem ptaków, bzycciem chrząszczy, zwielokrotnionymi echami odbijającymi się od murów zamku Kirkorza — nie ma zgody, przetrzymałem ją z najwyższym trudem, choć jako ćwiczenie

JERZY PANASEWICZ

PAŃSTWOWA WYŻSZA SZKOŁA FILMOWA, TELEWIZYJNA I TEATRALNA im. LEONA SCHILLERA W ŁODZI — „A...B...C...D” — Reżyseria: LIDIA ZAMKOW — Scenografia: JERZY MOSKAŁ — Współpraca reżyserka: ANTONI LEWEK — Kierownictwo muzyczne: EDWARD ŻUK.

## NIE ZAZNASZ SPOKOJU

Film polski stosunkowo rzadko zajmuje się społecznym marginesem. Tzw. elementy pojawiały się w naszych filmach jedynie w gatunku sensacyjno-kryminalnym i to raczej w charakterze egzotyki a nie problemu. Jeśli nie leży zapomnianej już „czarnej falli” polskiego dokumentu szczyłu lat 50-tych z takimi utworami jak „Paragraf 0”, „Miasteczko” czy „Uwaga, chuligani” i stosunkowo niedawnych prób fabularnych Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego, autora „Trądu” i „Zapisu zbrodni” to temat marginesu jawi się jako biała plama polskiej kinematografii.

Dlaczego? Jest to pytanie nielatte i odpowiedź na nie musi być złożona. Jest to pytanie o funkcje tak zwanego kina czarnego, czyli kina penetrującego kulisy społeczeństwa, jego periferie i patologie. W naszej pedagogice społecznej, której film jest jednym z najpotężniejszych instrumentów działania utrwalilo się przekonanie, że sztuka winna lansować pozytywne wzory zachowań. We wczesnych latach pięćdziesiątych ideał ten przekształcił się we własną parodię, powołując na ekran postacie z plakatu, manekiny solennie wcielające wszystkie idee przykazania, ale tchnące fałszem i nudą. Film ma bez wątpienia ogromny wpływ na społeczną świadomość, ale u nas przeczenia się jego bezpośredni charakter. Oddziaływanie kina jest znacznie bardziej skomplikowane i pośrednie, stowarzyszone z całym wielostronnym kontekstem życia realnego. Stąd schematyczna moralistyczna filmowa obracała się często-kroć we własne przeciwieństwo. Doświadczona skuteczność koncepcji „inżynierii dusz ludzkich” okazała się jeszcze jednym, zresztą ciągle dyskusyjnym, szlachetnym złudzeniem.

Znacznie trudniejszy żywot ma teza przeciwna, że nie należy unikać ciemnych i drastycznych obrazów życia społecznego, ponieważ dezercja kina z tych obszarów jest nie tylko dowodem hipokryzji, ale — co ważniejsze — prowadzi do utraty zbio- rowej samoświadomości. Postulat prawdy nawet za wszelką cenę, w imieniu której przemawiają rzecznicy konkretne zagrożenie. Okazuje się bowiem, że przykłady zła moralnego są znacznie bardziej atrakcyjne i „normotwórcze” aniżeli przykłady dobre, obok których przechodzi się

obojętnie. Filmy ukazujące gwałt, okrucieństwo i przemoc wywołują wśród społeczeństwa nasrodzkie defety- styczne, natomiast środowiska zde- prawowane, których stopień świadomości jest nader niski, bynajmniej nie poprawiają się, lecz zerkają ze swojego ekranowego portretu poczucie satysfakcji i potwierdzenie swojej szczególnej ważności. Zatem spór między tymi dwoma nastawieniami pedagogicznymi, z których jedno zaleca sztuce odpowiedź na pytanie „Jacy powinniśmy być?”, a drugie „Jacy jesteśmy?” jest ciągle otwarty i nierozwiązany.

Nowym głosem w tej starej dyskusji jest film Mieczysława Waśkowskiego pt. „Nie zaznasz spokoju”. Waśkowski poruszył temat, który dotychczas pojawiał się tylko w publikacjach i kronikach sądowych prasy codziennej. Chodzi o tzw. gitowców. Pisano na ten temat wiele, ale we wszystkich reportażach z tego cyklu przewijał się motyw bezradności wobec tego irracjonalnego zjawiska. Bowiem git-ideologia, git-moralność przeraża przede wszystkim swoim zorganizowanym systemem. To już nie są mniej lub bardziej trudne kłopoty z dorastającą młodzieżą, które powtarzały się przy każdej zmianie pokoleń. „Git” jest enklawą zamkniętą w reguły ścisłego rygoru. Moralności przeciwstawia anty-moralność. Tworzy odrębną ideologię społeczną, na którą składają się język, hierarchia wartości i ocen, sposób bycia i zwyczajny rytuał. Modelem idealnym jest tu świat skrajnie przestępczy, zapewniający więzieniu, z jego cynicznym kultem przemocy i terroru.

Waśkowski w swoim filmie nadał reportażowym opisom szokującą konkretność. Opowiada historię chłopaka, który po trzech latach spędzonych w więzieniu wychodzi na uprągnioną wolność. Wraca w dawne środowisko, terrorizuje dom rodzinny, organizuje swoją dawną szajkę, zalewając zadawione porachunki, planuje nowy „skok”. Film jest chłodny, maksymalnie zobjektywizowany, paradoksalną relacją, luźnym zbiorem scen obrazujących przestępczy etos grupy kilku chłopców. Waśkowski nie analizuje przyczyn psychologicznych i społecznych, które ich wyrzuciły na ulicę i zdecydowały o ich trybie życia, myślenia i odczu-

wania. Film napomyka zaledwie o nieskutecznych alternatywach, które ma do zaoferowania społeczeństwo. Epizod w klubie sportowym, którego prezes nie chce słyszeć o przyjęciu chłopaka wypuszczonego z więzienia pokazuje zaledwie jedną ze straconych szans reedukacji. Rozmowy z kuratorem aż nadto świadczą o bezradności instytucji, która poprzez swojego przedstawiciela nie może nawiązać najprostszego kontaktu z bohaterem, który już odbył więzienie edukację doskonale hartującą i rozwijającą przestępczy instynkt i obyczaj. Szkoła jako pozytywna możliwość już dawno przestała się liczyć w tym zdegradowanym świecie. Co więcej, sceny, które przedstawiają w tym filmie wychowawczy kontakt ze światem pozytywnym brzmia wątpliwe i dość naiwne. Nie jest to zarzut pod adresem reżysera. Jest to celowy zabieg w filmie pokazującym epidemię zbrodniczej moralności, która działa bezwarunkowo i miazdzą terroru sadystycznej siły każdą próbę oporu. Reżysera interesuje dynamika i ekspansja moralnej gangreny, która wychodząc z więzienia rozchodzi się coraz szerszymi kręgami i zmierza nieuchronnie do tragicznego finału. Jest to film okrutny, w którym nie szczędzi się scen przekraczających psychiczną wytrzymałość normalnego widza.

Oglądałem go na jednym z zwykłych seansów w sali przepełnionej w większości młodzieżą, której zewnętrzny wizerunek pokrywał się z bohaterami ukazanymi na ekranie. Podziwiając realistyczne efekty gry aktorów i warsztatu reżysera przyszłocześnie się jednocześnie reakcją tej dość niecodziennej publiczności, jaką zgromadził ten film. Otóż w ujęciach, które najwierniej oddawały knajacki styl życia widzowie reagowali złowrogim rechem, którego swojskość napawała grozą. W scenach najbardziej naturalistycznych — gwałtu, rytuałnego okaleczenia czy finałowego morderstwa — otaczająca mnie publiczność zamierała w milczeniu. Nie wiem, czy kryło się w nim przerażenie, czy podziw. A być może ani jedno ani drugie, lecz uczucia, które nie poddają się zrozumieniu?

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI



## Zdarzenia i zwierzenia

Dzieło i postać Karola Hillera (1891—1939) związane są z Łodzią nierozdzielnie. Ten wybitny malarz, grafik i działacz społeczny urodzony w Łodzi i rozstrzelany przez Niemców w lućmierskich lasach pod Łodzią był jednym z czołowych twórców w przedwojennej Łodzi.

Dzisiaj jego postać jest trochę zapomniana. Trudno powiedzieć czemu, może go trochę przyćmiła sława Władysława Strzemińskiego — kolegi i antagony, jak określają twórcę użyciu Cecylia i Janusz Duninowicz w swojej pięknej książce o exlibrisach. W tej książce znajdują się reprodukcje kilkunastu exlibrisów Karola Hillera.

Jest także publikacja Hillera ze wstępem Przemysła Smolika, którą czasem odnotowują prace na temat znaku książkownika. Przypomina ją „Słownik Pracowników Książki Polskiej” — nie przypomniał WEP, ale to normalne, skoro w tym dziele pod hasłem „exlibris” czytamy: „Po II wojnie światowej tradycja exlibrisu prawie zaginę-

# ZAPOMNIANY KAROL HILLER

„... Trudno o większą bzdurę.

Owa publikacja Hillera to legendarna już teka exlibrisów, wydana w 1927 roku przez Towarzystwo Bibliofilów w Łodzi, w nakładzie 250 egzemplarzy numerowanych, z których do sprzedaży przeznaczono 150. Właśnie ciekawo otrzymałem w prezencie ów legendarny druk zawierający esej Smolika oraz 14 tablic z exlibrisami. Myślę, że jest to okazja, aby postać Hillera przypomnieć.

Urodził się w Łodzi 1 grudnia 1891 roku. Studiował w Wyższej Szkole Technicznej w Darmstadt oraz w Instytucie Politechnicznym w Warszawie i Moskiewie. Przez pewien czas studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Kijowie. Studia więc odbył wielostronnie. Po powrocie do Łodzi w roku 1921 poświęcił się pracy artystycznej i pedagogicznej, był również działaczem lewicy socjalistycznej.

Od roku 1933 Karol Hiller był współredaktorem kwartalnika „Forma”, gdzie opublikował szereg artykułów, m.in. na temat uprawianej przez siebie nowej techniki graficznej — heliografiki. Technika ta — zupełnie wówczas w Polsce nie-

znana — opracowana została w końcu XIX wieku przez czeskiego grafika Klicza. Pozwalała na przeniesienie na płytę miedzianą rysunku półtonowego, bez fotomechanicznego rozbięcia na punkty, czyli bez tzw. rastru. Karol Hiller jako jeden z pierwszych w Polsce uprawiał i propagował heliografikę. Niestety, miał mniej szczęścia niż jego „kolega i antagony”. Dziś, nawet w solidnym „Słowniku terminologicznym sztuk pięknych” nie znajdziemy ani słowa na temat prekursorskiej roli Hillera w tym względzie, choć hasło „heliografura” zajmuje sporo miejsca. W słowniku tym raz tylko wymieniono nazwisko Hillera w związku z malarstwem abstrakcyjnym.

Mają kto pamięta dziś także o tym, że Karol Hiller na specjalne zamówienie Ary Sternfelda wykonał w roku 1933 projekt kładek do prekursorskiego dzieła wielkiego uczonego — „Wstęp do kosmonauziki”, wydanego później w 1937 roku w Moskwie.

Przeglądam teki exlibrisów Karola Hillera. Mają one wyraźne znamię talentu, są jedne i niepowtarzalne, choć oczy-

wicie nie bardzo mieszczą się we współczesnej estetyce. Poszukiwania twórcy Hillera w rejonach abstrakcji i geometrii przyniosły efekty oryginalne i nowe, ale dziś są już historią. Niemniej jest to historia, o której nie wolno zapomnieć.

Dwie były publikacje szczególnie zaangażowane w spór o kształt nowoczesnej sztuki lat dwudziestych: tom „O sztuce nowoczesnej” z esejami m.in. Strzemińskiego i Chwistka oraz „Exlibrisy Karola Hillera” — esej Smolika z artystyczną egzemplifikacją Hillera. Ta pierwsza książka jest znana i wielokrotnie przywoływana, ta druga jest drukiem legendarnym i mało znanym.

Za kilkanaście miesięcy nadejdzie czterdziesty rocznica śmierci Karola Hillera, rozstrzelanego w lućmierskich lasach. Jest jeszcze trochę czasu, aby z tej okazji wydać choćby skromny druk przypominający twórczość i działalność tego utalentowanego artysty awangardy, związanego swoją sztuką z robotniczym miastem.

WIDOK

## GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH RYSZARD BINKOWSKI



Wyszedł z sadu I gadu, gadu.

Rys. Stanisław Ibis Gratkowski  
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

## lewym okiem

Przed paroma laty odsłonięto w Warszawie pomnik Bolesława Prusa, niewątpliwie najbardziej warszawskiego z naszych klasyków. Pomnik może być się i podobal, pisano o nim w tonacji czysto informacyjnej, bez komentarzy: wystarczyło przeczyć wyszczególnić całą listę prominentnych nazwisk, zaangażowanych w Komitet Budowy, w Komitet Odsłonięcia, w Przeznaczanie Wstęgi itd. Jednak znalazł się głos pojedynczy, ale bardzo dośny; znany felietonista z „Kultury” uznał Prusa na pomniku za schorowanego smutniaka i zgłosił ostry protest przeciwko kształtowaniu takiego właśnie oblicza pisarza w świadomości społecznej.

Teraz szykuje się — naturalnie znowu w Warszawie — budowa pomnika Słowackiego, według starego projektu Edwarda Wittiga. Nie znamy tego projektu, ale tenże felietonista „Kultury” go zna i protestuje. Protestując zaś domaga się, aby takie ważne sprawy

# KSIĄŻE W KOSZULINIE

jak pomniki poddawać zawsze szerokiej dyskusji publicznej, niechby ludzie sami określili, jak powinien wyglądać Prus, Słowacki i Kobieta Polska (tak pomnik też ma gdzieś stanąć).

W sztuce Jewreinowa „Miłość pod mikroskopem”, granej w stolicy pół wieku temu, jednym z bohaterów był rzeźbiarz, który wyrzeźbił dwa identyczne posągi i jeden z nich pokazuje wszystkim, prosząc o uwagę. Według tych uwag posąg ulega wielu poprawkom, aż wreszcie wystawione są obydwa — i ten korygowany okazuje się bzdurnym kiczem, podczas gdy tamten, pierwotny, zachował cechy wielkiego dzieła sztuki. Myślę, że w tym sennym pomysle zawarta jest spora prawda: choć dogadzenia wszystkim, zwłaszcza w tak delikatnej materii jak dzieło sztuki, musi doprowadzić do tego, że nie dogodzi się nikomu, zaprzeczając przy tym zamysł twórcy samego artysty.

Nie wierzę w skuteczność publicznej dyskusji nad pomnikami, a także nad wieloma innymi sprawami, które ze swej listy porzucają się w samotnych zaciszach twórców. Nie można po-

ważnie oczekiwać, że z lektury stu tysięcy odpowiedzi na ankietę wyłoni się najlepszy z możliwych Juliuszów Słowackich zakulech w brąz.

Do pomnika trzeba się przyzwyczaić, inaczej każdy jest brzydki i śmieszny. Dlaczego Książę Józef siedzi na koniu w krótkiej koszulince, z gołymi kolanami, skoro wiemy przecież dokładnie, jak wyglądał noszony przez niego mundur? Dlaczego Szopen siedzi pod wieżką w długiej, powłóczystej chlamidzie, jakiej nigdy nie nosił, a Mickiewicz w Poznaniu jest kamiennym słupem z ludzką twarzą, przypominającym słowiańskiego Swantewita? A może właśnie odręcznie nie postać i szeregów czyni pomnik łatwiejszym do przyjęcia? Może obojętniejszy, mając do czynienia z wieloznacznym, „niedookreślonym” symbolem zaniast z wizją konkretnego człowieka, którego sobie konkretnie wyobrażaliśmy i nie godzimy się na wyobrażenia odmienne? Ież to było zacietrzewionych głosów, jak powinna wyglądać filmowa Oleńka, a jak — pan Wołodyjowski... A nie byłoby tej dyskusji, gdyby Trylogię grały kukielki — dale-

kie z zasady od wiernego odzwierciedlenia rzeczywistości.

Do pomnika, żeby go polubić, trzeba się przyzwyczaić. Potrzeba na to wielu dziesiątków lat. Tymczasem miasta zmieniają się tak szybko, że nie zdążymy nowych pomników polubić, ani umieścić ich w przewodnikach dla turystów. Popierając Moniuszkę przy dworcu Fabrycznym musieliśmy w ciągu paru zaledwie lat obrócić twarz do tyłu, bo zmieniono profil ulicy Narutowicza. Gdzie wznosić nowe pomniki? W nowych dzielnicach musiałyby być gigantyczne, żeby nie zniknęły wśród podniebnych wieżowców. Nike w Warszawie i Ziżka w Pradze — to przykłady, jak pomniki rosną, aby pozostać zauważalnymi. Wiecej raczej pozostaniemy w dzielnicach starszych, w otoczeniu oswojonym, osiwiałym, pełnym tradycji i historii. Może wrócić do tego tematu, jeśli Łódź zechce uwiecznić się pomnikiem kogoś, kto przeszedł przez to miasto. Na razie o tym nie słychać.

CWIEK

## propozycje

„Master Mind” reklamowany jest jako gra roku. „Mistrz intelektu” jest walką inteligencji i logiki dwóch przeciwników — jak piszą w prospekcie. Na kolorowym opakowaniu zaś: „Gra dla dwóch osób”, „Ta gra wciąga!”, „Nie zapominaj o codziennych obowiązkach”. Instrukcję wydano w dziesięciu językach: polskim, bułgarskim, czeskim, słowackim, niemieckim, rosyjskim, węgierskim, rumuńskim, serbsko-horwackim i angielskim. Sam pomysł gry jest nadszyczą prosty: płytka z tworzywa z dwoma rodzajami otworków, kolorowe bolce i szpilki, jeden zawodnik koduje układ bolców z sześciu możliwości, drugi stara się go odgadnąć. Im mniej prób dokona przed ostatecznym odgadnięciem, tym lepiej dla niego.

Pomysł prosty, bawi się nim podobno cały świat, a i Krajowa Agencja Wydawnicza, za prz. ce na której „Master Mind” ukazał się na rynku, też pewnie pomyślała o możliwości sprzedawania go poza naszymi granicami, wydając instrukcję aż w 10 językach. „Master Mind” ukazał się w kioskach „Ruchu” i zniknął, mimo wcale niebagatelnej ceny 150 złotych za komplet. Wniosek z tego prosty: skoro, mimo dość wysokiej ceny, „Master Mind” rozszedł się szybko, to znaczy,

# MASTER MIND I INNI

że trafił na podatny grunt, zainteresował ludzi, podoba się i byłoby dobrze, aby na rynku znów pojawiły się kolorowe pudełka z tą grą.

Krajowa Agencja Wydawnicza ciągle czymś zaskakuje swoich odbiorców. Jej działalność jest ogromna i niezwykle różnorodna. Jest to działalność nowoczesnego koncernu wydawniczego, który lamie wszelkie schematy. KAW postępuje przede wszystkim w myśl zasady, że każdy pomysł jest dobry, jeśli coś z niego dla klienta i firmy wynika. Po drugie — że wszystkie pomysły i inicjatywy składają się — tak jak w gazecie — na określoną całość. Wychodzi się tu z założenia, że klient — podobnie jak czytelnik gazety — wybiera dla siebie to, co go interesuje. A ludzi interesują różne rzeczy i nie wszystkich to samo. Stąd musi być różnorodność. I jest.

Krajowa Agencja Wydawnicza wypuszcza na rynek pocztówki, albumy, drukowane tkaniny, prospekty oraz całą gamę różnych serii książkowych. W kioskach „Ruchu” i księgarniach można więc spotkać książki o sporcie, sensacyjnym, kryminalnym, z serii z „7” oraz „Ekspres reporterów”. Ukazuje się też seria „Wszystko o...”. Zresztą nie jestem pewny, czy jakiejś serii nie pominąłem, a raczej pewny, że pominąłem, bo trudno pamiętać całą i tak bardzo różnorodną produkcję KAW.

Czytując „Ekspres reporter-

ów” dumam sobie nad tym, ile to mądrych rzeczy w Polsce powiedziano i napisano o reportażu: że reportaż przechodził kryzys, upadek, dno, że nikt się w Polsce reportażem nie interesuje, że młodzi dziennikarze wolą zajmować się informacjami niż pisywać reportaże i tak dalej. I oto „Ekspres reporterów” temu wszystkiemu przeczy. Okazało się, że nie tylko ludzie chętnie czytają reportaże, o czym świadczyły szybkie rozchodzenie się poszczególnych tomów „Ekspresu reporterów”, ale też są dziennikarze chętni do zajmowania się tym gatunkiem. Dzięki „Ekspresowi reporterów” czytelnik dowiedział się o wielu interesujących wydarzeniach i o wielu ludziach, a poza tym ta cykliczna publikacja KAW umożliwiła spotkanie z kilku mniej znanymi a bardzo interesującymi reporterami.

Jedno mam tylko zastrzeżenie do „Ekspresu reporterów”, że swoim cyklem wydawniczym przypomina ekspresy PKP. Spóźnia się to w sposób wręcz skandaliczny, czym w sposób oczywisty przeczy swojej nazwie. Mamy już drugą połowę kwietnia, a jeszcze nie ukazał się ani jeden numer „Ekspresu reporterów” z 1978 roku. Poza numerem specjalnym na rok bieżący przeznaczonym, ale wyjątki — jak wiadomo — tylko potwierdzają reguły.

KAW jest instytucją nie tylko rozległą w swoich inicjatywach, ale posiadającą filie w wielu miastach kraju, w Łodzi też

Łódzki oddział KAW specjalizuje się — jak do tej pory — w druku na tkaninie oraz w wydawaniu plakatów. Druki na tkaninie okazały się niebawem rynkowym towarem i łódzki oddział KAW nie może podobać zamówieniom. Ale nie ma z tym zmartwienia. Inicjatywa KAW wychodzi naprzeciw kłopotom przemysłu lekkiego i aż dziw bierze, że przemyśl ten do tej pory nie wpadł na pomysł, aby produkować druki na tkaninach, posiadając do tego wszelkie warunki. Potwierdza to tylko potrzebę nieschematycznego patrzania na świat.

Wydaje mi się, że łódzki oddział KAW nie wyczerpał wszystkich możliwości, że i tu może i powinno ujawnić się wiele inicjatyw. W zasadzie działalność Krajowej Agencji Wydawniczej traktuje się jako całość, ale chyba nie nie stoi na przeszkodzie, aby poszczególne oddziały dokumentowały swoją obecność na rynku, specjalizując się w tej czy innej dziedzinie wydawniczej. Mam nadzieję, że łódzki oddział KAW taką specjalizację — poza drukiem na tkaninach — być może wkrótce zadokumentuje. Czego mu z całego serca życzę!

MARCIN RODAK



## HISTORIA TEATRU

„Krótką historią teatru polskiego” Zbigniewa Raszewskiego jest wieloletnim podsumowaniem dotychczasowych badań popartych badaniami autora. Obejmuje wydarzenia z lat między połową XIII wieku a schyłkiem II Rzeczypospolitej, omawia organizację życia teatralnego, ewolucję poszczególnych stylów, działalność wybitniejszych jednostek, charakter przedstawień najświetniejszych lub najbardziej zmienianych dla każdego okresu.

Ukazuje związki, jakie łączyły teatr polski z rozwojem sztuki w całej Europie, a także z ogólnym stanem kultury polskiej różnych czasów. Książka Raszewskiego dotyczy w tej dziedzinie procesów bardzo zawiłych — autor czyni to jednak w sposób bardzo przystępny i przejrzysty. Tekst podzielono na trzy części, jest uzupełniony przez 25 tabel, w których zestawiono godne uwagi daty lub schematy organizacyjne. Słowem jest to jedna z ciekawszych książek o historii polskiego teatru od jego początków po rok 1939.

Zbigniew Raszewski „Krótką historią teatru polskiego”, PIW, cena zł 120.  
STUDENCI POD ŻAGLAMI

Wydawnictwo „Sport i Turystyka” od jakiegoś czasu publikuje bardzo ciekawą serię książeczek pod wspólnym hasłem „Stadion”. Autorami są znani publicyści i dziennikarze sportowi m. in. Bohdan Turczyński i Jerzy Zmarzlik.

Ostatnio ukazała się w tej serii książeczka Andrzeja Kamińskiego pt. „Azeteciacy pod żaglami”. Jest to opowieść — o żeglarskich podżaglach znaku Akademickiego Związku Sportowego. Nas szczególnie interesuje w tej książce akcent łódzki. Otóż nie wszyscy wiedzą, że tradycje żeglarskie są w Łodzi bardzo bogate. Właśnie w Łodzi, pozbawionej rzeki i oddalonej od większego — jak mówią wodniacy — akwenu.

Inicjatorem tworzenia żeglarskiego był w Łodzi dr Tadeusz Romer — kapitan żegluzi wielkiej, uczestnik głośnego rejsu „Smialeń” Dział Akademicki Klub Żeglarski w Łodzi liczy ponad 600 członków, w tym 5 kapitanów żegluzi wielkiej i 20 sterników morskich. Książeczka Andrzeja Kamińskiego zainteresuje z pewnością wszystkich miłośników żeglarsstwa.

Andrzej Kamiński „Azeteciacy pod żaglami”, „Sport i Turystyka”, cena zł 10.

## PO RAZ PIERWSZY UJAWNIONE

Jean Raymond Touroux specjalizuje się w żurnalistyce najtrudniejszej: takiej, która wymaga nie tylko umiejętności wykorzystywania źródeł ogólnie dostępnych, ale i docierania do źródeł tajnych, po raz pierwszy ujawnionych w jego książkach. De Gaulle powiedział kiedyś do Touroux: „Nigdy nie było dla Pana tajemnic, a dziś — dzięki Panu — nie ma ich również dla publiczności”.

Książka francuskiego publicyisty o de Gaulle'u dotyczy najbardziej przełomowego okresu w historii ludzkości, okresu tytanicznych zmagania, przemian tak głębokich i tak szybkich, że aż zapierała deen w pierśach. Jej bohaterem jest człowiek niezwykłego formatu, we współczesności lub konfliktach, albo w jednym i drugim równocześnie — z największymi ludźmi naszej epoki.

Mówi się niekiedy, że pokazanie wielkiego meża stanu w najbardziej intymnych momentach jego życia politycznego odbierało go, pomniejsza, zbliża do przeciętnego człowieka, a tym samym świąta z piedestału. Książka Touroux udowodniła, że jest przeciwnie: ostatecznie nieznaną proces dochodzenia do znanych wyników sprawia że lepiej rozumie my de Gaulle'a zarówno w jego wielkości jak i w słabościach. Wobogactwo to nasze spojrzenie na jego i nasze czasy, pozwala intelektualnie uchwycić źródła fundamentalnych, historycznych sił, które kształtują świat i wkład wielkich ludzi w ten rozwój. Pozwala to także widzieć przyczyny błędów tych ludzi w konkretnych sytuacjach, co samo przez się ma ogromną wartość nie tylko poznawczą, ale i dydaktyczną.

A poza tym jest to książka znakomicie napisana — pasjonująca i wręcz sensacyjna.

Jean Raymond, Touroux „Po raz pierwszy ujawnione”, Książka i Wiedza, cena zł 50.



# MAGAZYN

## kulturalny Nr 6

### NASZ AKT



**MIEDZYNARODOWE ZAWODY KULTURYSTYCZNE**  
Pabianice  
maj 1978

Na koncertach w ZSRR przebywają łódzcy filharmonicy.

Karnawał dawno za nami, ale sezon konkursów tanecznych dopiero się zaczyna. W Magdeburgu, podczas Drużynowego Międzynarodowego Turnieju Tańca Towarzystwa, i miejsce w klasyfikacji ogólnej zajęli reprezentanci Klubu Tańca Łódzkiego - Domu Kultury. W dniach 8-9 kwietnia 1978 r. odbywał się w Łodzi Międzynarodowy Turniej Tańca Towarzystwa o „Złote Członko”.

Na 21 już wyprawie zagranicznej przebywał w kwietniu 49-osobowy zespół „Harmama” uświetniając Dni Polskie w Hiszpanii, a w drodze powrotnej, występując z programem polskich tańców ludowych we Francji i RFN.

Podwójnym liczącym 53 wagony składem podążą towarowego przybył do Łodzi „Cyrk Wielki”. Zespół liczy 100 osób, 70 zwierząt, a namiot rozłoży tradycyjnie przy ul. Bruckowej - 3 tys. miejsc.

### Z ŁODZI I OKOLIC

Na obszarze ok. 2 hektarów powstaje na wsłuzach dziesięć wioska typu „Dziaki Zachód”. Staną w niej trapezowe szaisy, indyjskie wigwamy, stylizowana stacja kolejowa wraz z pociągami, drewniane konie itp. Urządzenia. Obiekt udestynowany będzie w lipcu br.

Przez fabryczne próby eksploatacyjne przechodzi w łódzkiej „RONICE” pierwszy zbudowany w naszym kraju gramofon - model urządzenia służącego do odtwarzania fonii oraz kolorowego obrazu utrwalonego na gramofonowej płytce. Urządzenie zaprezentowane będzie w czerwcu na Międzynarodowych Targach w Poznaniu.

Opracowano model teoretyczny układu przestrzennego Sieradza Wódor „podstawowych jednostek strukturalnych” układu znajdują się m. in. Wojewódzkie Centrum Kultury - zespół mieszczący teatr, sale klubowo-kinowe, kawiarnie i inne placówki kulturalne, Park Etnograficzny i Rynek Staromiejski - po zakończonej rewaloryzacji (zakończenie opracowywania projektu rewaloryzacji planuje się w II kwart. br.).

W związku z X rocznicą uchwalenia ustawy o bibliotekach odbyła się w Łodzi ogólnopolska konferencja na temat „Stan i kierunki rozwoju prowadzenia bibliotecznego w Polsce”.

Z salonów wystawowych: w Galerii Sztuki przy ul. Wólczańskiej wystawa prac Hieronima Kozłowskiego (m. in. cykl „Rozżuki pejzażu” przedstawiający tragedie form biologicznych niszczonej przez cywilizację), w Galerii Lubieckiej wystawa rysunków Grzegorza Stańczyka (n.b. nie będącego członkiem ZPAF) w Muzeum Łódzkim XI Wystawa Łowickich Piastków. W pabianickim Muzeum - wystawa grafiki i rysunku warszawskiego plastyka Zb. Dolatowskiego, zaś w Muzeum Wieluńskim - wystawa pod nazwą „Portret sarmacki”.

Skierowicki Pałac Słubów znajduje miejsce w zabytkowej willi z 1890 roku, zwanej „willą Marciniaka”. Zanim jednak władze miasta zdecydowały się na remont, opuszczony przez lokatorów budynek uległ poważnej dewastacji. Na razie więc prace polegają jedynie na zabezpieczeniu przed kompletnym już zniszczeniem zabytkowej eklektycznej willi.

Wydawców Książek na najlepiej wydaną książkę 1977 roku. Lista nagrodzonych książek sięga 17. Za ogólny poziom nagrodzono Wydawnictwo Literackie, za wybitnie osiągnięcia w kształtowaniu szaty graficznej książki - Jana Miodożęca, za całokształt osiągnięć w produkcji książek - Drukarnię im. Rewolucji Październikowej.

▲ 166 tysięcy złotych zarobił nieuklepowy magazynier i pracownik sklepu OTEKUX, kradnąc ze Stołecznych Zakładów Wyrobów Artystycznych „COPIA” falbany haftowane, ozdobne kamienie artystyczne... Ale suma jaką zobowiązani są zwrócić wyrokiem sądu (zwrot zagarniętej kwoty + grzywny + wartość mienia, które uległo przypadkowi) przekroczy wielokrotnie to, co zdołałby zdołać przez krótki czas zagarnąć...

### DONOSY KRAJOWE

▲ Dyrektorem krakowskiej „Estrady” został dotychczasowy prezes Spółdzielni Mieszkaniczej „Hutnik” i ostatnio kierownik Oddziału Przedsiębiorstwa Usług Socjalnych „Budostal” w Ostrowcu Świętokrzyskim.

▲ Kolejny egzemplarz zebranego osza - atrapę legendarnego, potężnego narzędzia do obcinania uszu stodołom, skradziono - mimo grubych łańcuchów - ze ślony krakowskich Sukiennic.

▲ Rozstrzygnięto XX konkurs Polskiego Towarzystwa

▲ Muzeum Kiezu zorganizowali studenci warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Natomiast warszawski Klub „Remont” udostępnił swe szczyby amatorom rysunków. To sztuka ulicy, sztuka dnia codziennego, często pełna jest celnych obserwacji i komentarzy o sprawach najbardziej aktualnych - pisze recenzent „Trybuny Ludu”.

▲ Nieźle zachowane drewniane rury wodociągowe z XVII wieku odkryto podczas prac ziemnych na Starym Rynku w Warszawie.

### W TEATRZE NOWYM STRZELECKI



Foto: A. Brustman

O tym, że nawet najbogatsze życie można streścić na obu stronach niewielkiej kartki o formacie 287 na 137 mm, świadczy program przygotowany przez Teatr Nowy w Łodzi na wystawę prac scenograficznych ZENOBIOUSA STRZELECKIEGO. Nie będziemy - za prasą codzienną - streszczać po raz któryś to streszczenie! Każdy widz odwiedzający w kwietniu Teatr Nowy otrzyma je wraz z programem sztuki. Zamiast streszczenia streszczenia wyliczyć - wiele mówiące - śródtytuły: „ZENOBIOUS STRZELECKI” (jest to krótka nota biograficzna), „PRACA PEDAGOGICZNA”, „FUNKCJE SPOŁECZNE W LATACH 1947-77”, „ODZNACZENIA”, „KOMISARZ WYSTAW SCENOGRAFII POLSKIEJ”, „PUBLIKACJE”, „NAGRODY”, „REALIZACJE W TEATRZE NOWYM”... Prezentujemy najładniejszy - naszym zdaniem - fragment wystawy (czyżna do końca kwietnia, foyer Teatru Nowego przy ul. Więckowskiego 15, POLECAMY!).



Foto: J. Neugebauer

### SALONOWIEC NIE ZACHWYCIŁ SIĘ „ZWŁOKĄ”

„I nie wróży jej zbyt długiego żywota na scenie Wyraźnie przereklamowanej sztuki nie ratuje ani kilkanaście rozsypanych po tekście ciętych dialogów, na które publiczność rzuca się niby stado wróbli, kawałki owocami na ciąg luźnych scenek i tak już mało spójny dramat (wychodzi z tego jakiś kabaret...), ani tym bardziej wszystkie „metafizyczne dywagacje” dobrze odżywnego Szwajcara, stanowiące zlepek (a nie „komediową syntezę”, do której zmierzał Durrenmat) najwidoczniej źle i przypadkowo trawionych odgłosów współczesnego świata.”

Niepokoi Salonowca także polityka kadrowa dyr. Kazimierza Dejzka. Czy nie skończą się te grupowe „koncerty” byłych warszawskich gwiazd (często jeszcze gościnne, w przerwach między występami w stolicy) na łódzkiej scenie? Jak długo można oglądać pana M. Voita obok pani B. Horawianki, a pana A. Zarneckiego obok łodzian - pani I. Pięnkowskiej i pana M. Barbastewicza, łącznie ze wspomnianym p. Voitem, na etatach podupadłych arystokratów? Pani Pięnkowska w „Zwłoce” - toż to „zdarta skóra” z książeczki Himalaj (w „Operetce”).

Z nieszczęśliwego mariażu ex-gwiazd wyłamał się pozytywnie jedynie J. Duriasz. Większość pierwszoplanowych ról jednak niezdecydowana, niedopracowana, jakby nie połączona jednoczącą je, wspólną myślą inscenizatora...

„Nie było szekspirowskiego zacięcia” - pożałował się ktoś po spektaklu. „Zacięcia” nie było, a - co więcej - tym razem wychodząc „od Dejzka” Salonowiec poczuł się nieco „nacięty”.

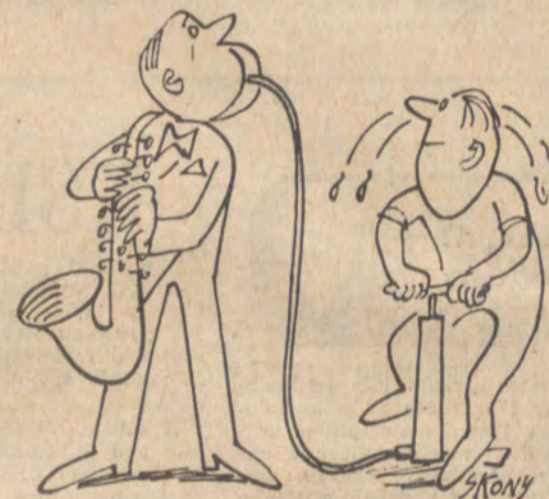
SOL(ONOWIEC)

## STAN GETZ W ŁODZI

### W OBIEKTYWIE RYSZARDA LUCYSZYNA



### ... I PIÓRKIEM JÓZEFA SKONIECZNEGO



### POETYCKA SPÓŁDZIELNIA PRACY ŚWIADCZY USŁUGI DLA LUDNOŚCI

popiera i zrzęca wszystkich ambitnych i pragnących pokazać się światu drobnych (wy) twórców poetyckich, nie objętych żadnym związkiem ani stowarzyszeniem twórczym.

POECI, PRZYSYLAJCIE SWE TWORY! (wraz z fotografią i życiorysem). Prezentacja na naszych łamach oznacza przyjęcie w poczet członków Spółdzielni i jest honorowana według obowiązujących stawek autorskich. POECI, NIE PRZEGAPCIE TEJ SZANSY! Być może to dzięki nam Wasze wiersze po raz pierwszy ujrzą i doceni świat... Nasz adres: „ODGŁOSY”, 90-438 Łódź, ul. Mickiewicza 12, z dopiskiem „MAGAZYN”.

CZEKAMY! Prezes Pierwszym autorem na liście członków naszej Spółdzielni jest pan ZYGMUNT KOWALIŃSKI, mieszkaniec Łodzi. Prezentujemy jego wiersz pt. „Transzeja na Wzgórzu Lubieckim”.



Autor

Sosny chropawe, las lubiecki i szosa, - od niej dąki prowadzi do wód jeziora i trzęsawisk powszechnie Łukiem Świętym zwanych.

Zwyczajny burzyny głaz tonie, ciemne jeziora z lodowca czasów, drzewo zatopiony wspominał ludzie z legendy skryta w paproci lasów.

Konary sosen patrzy w głębie, dumając nad przastarym czasem, piasków stróżem spada w wodę wyniosła góra szumiając lasem.

Łosi srebrem słońca jak puklerzem dalekosieżna laska pali, w obrzeżu mrocznej ściany lasu, na głębiach się iskrami pali.

Jedynie ról wodnego plectwa radoznym piskiem maści cisze, w lasurze nieba biała plama, na skrzydłach wiatru się kolyśzacz.

Hen w dali tylko widmo ciche, rybak wioskowy przy wiklinie, - dalekie rzenie siwka słychać, i stadko rybitw skosnie płynie.

Woda oblewa chłodną falą nagrane piaski wzgórz lubieckich, na których szczytach z woleń zmagają głęboki został ról strzelecki.

Jest tu ich wiele, wzdłuż, w zygach zaskieki drutów porządnie po krwawym trudzie drugiej wojny, jak relikw zmagają pozostałe.

Tu plener dziejów widać blisko, żołnierski bagnet, granat, hełm, i krwawy strzęp pobojowiska, na którym polski żołnierz leży.

Z cyklu: „Pudła”

### Tutti frutti

Podróżując per procura, dzięki interesującemu reportażowi W. Machajki („Odgłosy” nr 13), do Hanoi, dokonaliśmy odkrycia lingwistycznego. Autor informuje, że sprzedaje się tam między innymi (cytuujemy) „fruta del mare”. Przekładaliśmy te słowa i słowa - że no iacine, a del mare - że no wiosku. Wioskie określenie jadalnych skorupiaków brzmi naprawdę: frutti di mare. Wystarczy zajrzeć do Kopalnińskiego; (ski)

### Z OGŁOSZEŃ:

Zelowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego „FANAR” w Żelowie zatrudnia zaraz dyrygenta-instruktora orkiestry dzieci. Teatr Nowy ogłosił przetarg nieograniczony na wykonanie szeregu robót remontowych, m.in. na wymurowanie gablot reklamowych. Ogólna wartość robót - 400 tysięcy... Kierownictwo produkcji filmu „Aria dla atlety”, którego bohaterem jest Zbyszko Cyganiewicz, zakupił lub wypożyty z lat 1885-1932 m.in. rzeźby Atlasa, rekwizyty i kostiumy cyrkowe, rekwizyty pochodzenia japońskiego, kostiumy plażowe i zabawki... Artystom (których, jak wiadomo, znani są - nie tylko wiosna - 2 rozstrzygnięcia) przynominamy nowy numer telefonu Magazynu Przedmiotów Znalezionej: 435-83. Informacja ta powinna szczególnie zainteresować właścicieli przewożonych w środkach MPK wiołonek, saksofonów, białoramiń i maszynopisów.

### Budujemy...

#### Kącik bibliofila zaangażowanego

Wojciechowski Lech: „Chcę budować. Informator dla budujących indywidualnie”; Tajowski Wiesław: „Budujemy sami. Krótkie, obręki dla kóz, kur-niki, budy dla psów, gołębniki, klatki dla nutrii, pieczarkarnie”; „Rolnik buduje swój dom”, praca zbiorowa.

## TRANSZEJA NA WZGÓRZU LUBIECKIM

W bitewnym dymie polskie orły, ułne w potęgę i zwycięstwo, uległy chytrym najściem hordy, na szale kładąc swoje męstwo.

Huk dział granatów i moździerzy, błysk ognia, dym i zgiełk chaosu i krzyk „za Polskę” twój żołnierzu w wiatru poszaniach zamari lasu.

W czas okupacji piona żary, tęsknoty skryte w czyn podziemny: wzgórzem przemknął się człowiek szary, ostrożnie depcząc liść jesienny.

Stapanie słyse - „Idzie ktoś” - pytam? adiutant za pnia mi odpowie: „partyzant”... przyciszonym słowem „niech przejdzie” nie mu się nie stanie!

Żołnierzu coś szedł do ataku kula przesyty w leśnym gąszczu, inni zajął twoim śladem, odwaga znacząc czyn zwycięski.

Ale iza deszczu i wichura, czyn Heroizmu wciąż zaciera, z wolna zgiełk bitew oddalając, i grzechot strzałów cekaemów.

Wiałam się myślą w oddech ciszy, w poszumach lasów, w miejscu zmagają, czasem wiatr stracił szyszkę uschłą, która z szelestem w okop wpada.

Mysla ogarniam dni wrzesniowe wyblakłe ognie po pożarach, i czasu... który dziś wierznych synów pokojem i pracą wynagradza.

Łódź - Chojny, 15 X 1978 r.

ZYGMUNT KOWALIŃSKI